

# ECHO ZŁOTORYI

Nr 12 (188) 2022

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pielgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja



Cena: tylko 4 zł

ISSN 1897-4023



16 lat

W grudniu 2006 roku tuż przed świętami wyszedł pierwszy numer Echa Złotoryi - pierwszy numer reaktywowanego po ponad piętnastu latach miesięcznika. O poprzednim, który wychodził zaledwie półtora roku, wielu złotoryjan nie pamiętało, dlatego tym bardziej ważne było dla nas, by powołać do życia czasopismo, które mocno zaznaczy się na lokalnym forum.

Czy tak się stało? Nie wiem. Wiem na pewno, że dla mnie i dla mojego Męża Echo jest trzecim dzieckiem, bo to my nadaliśmy mu w 2006 roku życie i je pielęgnujemy, wspieramy, karmimy własną pracą. W moim przypadku już 16 lat. Dla mojej niezawodnej Redakcji Echo nie jest jedynie epizodem w życiu, dodatkiem, ale comiesięcznym obowiązkiem wobec czytelników. Obowiązkiem, który nie daje innej gratyfikacji poza satysfakcją, którą mamy w momencie, kiedy świeżutkie egzemplarze gazety przychodzą z druku i tej dumy, gdy ktoś pochwali nasze teksty. Pracujemy całkowicie wolontariacko i mamy pewność, że dzięki temu jesteśmy fenomenem na skalę kraju.

Czy jesteśmy dobrzy w tym, co robimy? Na pewno nie zawsze nam się udaje stanąć na wysokości zadania, na pewno nie z każdego tekstu jesteśmy zadowoleni, na pewno dałoby się to wszystko poprowadzić lepiej, można byłoby popełniać mniej błędów, robić mniej literówek, można by stworzyć bardziej profesjonalną szatę graficzną, można by...

Ale tylko ten, kto nic nie robi, nie popełnia błędów, dlatego nie mamy kompleksów. Gdybyśmy je mieli, nie byłoby Echa.

Jednak czasami, kiedy siadamy z Mężem do składania kolejnego numeru i mocno się przy tym ścieramy, a czasami nawet wybuchamy złością, tracąc do siebie cierpliwość, zastanawiam się, po co to wszystko? Czy ktoś poza nami, naszą Redakcją, zauważyłby brak Echa na rynku. Czy ktoś by zatęsknił za naszymi tekstami? A może wcale nasza praca nie ma takiego sensu, jaki sami jej przypisujemy? Może nasz wydawca TMZZ odetchnąłby z ulgą, gdybyśmy powiedzieli: koniec! Nie musiałby wydawać miesięcznie ponad 2 tysiące złotych za coś, co i tak się materialnie nie zwróci. Może nie musiałby prosić sponsorów o datki, bo nie jest to proste, ani komfortowe.

Póki co, jeszcze mamy chęć, by pisać, by publikować, ale bez Was, bez czytelników nic nie będzie miało sensu.

*Iwona Pawłowska*



Z Warszawy do Sędzimirowa

Rodzina pierwszych powojennych właścicieli domu

Pana **Andrzeja Kaweckiego** poznałam w trakcie poszukiwania ciekawych miejsc w miejscowościach na terenie gminy Pielgrzymka. Remontowanego domu nie udało się umieścić na zdjęciach prezentujących wieś, ale zainteresowała mnie nietuzinkowa postać samego właściciela.

Jak to się stało, że warszawiak znalazł się w Sędzimirowie?

- W Sędzimirowie po raz pierwszy byłem w 2021 r., ale na Dolnym Śląsku bywałem z żoną od 1998 r. - przynajmniej raz w roku. Bardzo lubiliśmy tu przyjeżdżać, intensywnie zwiedzaliśmy. Od bardzo dawna myśleliśmy o zamieszkaniu tutaj. Chcieliśmy wyremontować stary dom, pracować i robić coś ciekawego.

Kim Pan jest z zawodu?

- Jestem historykiem kina, absolwentem wydziału historycznego na Uniwersytecie Warszawskim. Wiele lat pracowałem w FilMOTECE Narodowej. Początkowo zostałem skierowany na tzw. odcinek historyczny. Mając wiedzę historyczną mogłem sprawniej rozpoznawać różne rzeczy w starych, przedwojennych filmach: miejsca, uroczystości, osoby. Była to trochę, dotycząca filmu, praca detektywistyczna. Udało mi się odkryć w Polsce zaginiony film jednego z pionierów animacji rysunkowej - francuskiego twórcy Emile Cohla. Leżał sobie na półce w naszej FilMOTECE. Odnalazłem wnuka Cohla, który zajmował się



spuścizną po dziadku. Bardzo się ucieszył. Film został przekazany do Francji w zamian za inne filmy tego reżysera. Zajmowałem się także organizacją imprez filmowych i przez 12 lat prowadziłem edukację filmową dla dzieci i młodzieży. Często wyjeżdżałem na zajęcia w różne miejsca Polski. Z FilMOTEKI dostawałem na nie urlopy naukowe. Były to działania nowatorskie, bo jako pierwszy w Warszawie prowadziłem, w jednym z kin, przez dwa lata zajęcia filmowe dla dzieci z autyzmem. Było to bardzo ciekawe doświadczenie. Zrezygnowałem z pracy w FilMOTECE, aby tylko prowadzić zajęcia. Planuję, gdy w miarę uporam się z remontem, znaleźć np. we Wrocławiu, jakieś miejsce w kinach, szkołach, gdzie mógłbym takie zajęcia kontynuować. Myślę o miejscu, gdzie jest dużo kin, ale nie wykluczam współpracy z instytucjami w innym, mniejszym mieście. Przez wiele lat nie dbano u nas o kina, poza dużymi miastami. Była nawet taka smutna wystawa objazdowa „Tu było kino”. Pokazywała na zdjęciach opuszczone, często zrujnowane budynki kinowe. Pisałem także na temat filmu artykuły do różnych pism.

W pewnym momencie pomyślałem, że fajnie byłoby coś zbierać. No i się zaczęło... Razem z żoną Kasią kolekcjonujemy różne aparaty optyczne i kinematograficzne: od XIX-wiecznych zabawek optycznych po sprzęt do lat 40-tych ubiegłego wieku: latarnie magiczne, stereoskopy, projektory filmowe na korbkę. Nowszymi się nie interesujemy. Robiłem pokazy mniejszych przedmiotów, bo wystawa to jest kosztowna rzecz. Mało jest kolekcjonerów takich eksponatów. Jeden z nich wydzierżawiliśmy naszemu znajomemu, który pod Warszawą otworzył dwusalo-

we kino i postawił w nim nasz największy eksponat - przedwojenny, polskiej produkcji - jedyny, zachowany w całości (z optyką). Waży 250 kg, nie mieliśmy gdzie go umieścić. Moja żona jest pedagogiem specjalnym, ale razem z mną zajmuje się kolekcją: opisywaniem, szukaniem informacji. To nasza wspólna pasja. Może kiedyś zajmiemy się branżą historyczno-rekonstrukcyjną, konserwatorską. Mam ku temu dobrą podbudowę. Przez kilka lat byłem w Radzie Naukowej Muzeum Kinematografii w Łodzi. Może zrobimy kiedyś mini-muzeum, bo jest na to miejsce.

Dlaczego właśnie Sędzimirów? I ten dom?

- To przypadek. Zawsze mówiliśmy, że musimy zwiedzić zamek w Groźcu. Zwiedziliśmy okoliczne miejscowości, a jego nie. Teraz go widzimy z okien kuchni. Szukaliśmy domu, który nie byłby przerobiony, unowocześniony - bez płyt gipsowo-kartonowych na ścianach. Nie musiał być ładny. Chcieliśmy odstąpić ściany szachulcowe, stare deski na podłodze, sklepienia. Oglądaliśmy trzy domy, na każdy byliśmy już zdecydowani. Na dwa z nich

cena została za wysoko podbita. Ten dom nas nie przeraził, bo nigdy nie robiliśmy remontu starego domu. Na górze możemy mieszkać. Wiele rzeczy robię sam, bo bardzo to lubię i chcę je zrobić po swojemu. Remont kosztuje, zwłaszcza w obecnej sytuacji i jeśli chcemy zrobić to solidnie. Stosujemy zaprawę do renowacji starego muru, wielokrotnie droższą od zaprawy cementowej. Jest to zaprawa wapienna, bez gipsu, hydrofobowa, tylko z dodatkiem trasy. Nie musieliśmy mieć pozwolenia konserwatora, bo nie zmieniamy stylu domu, wymiarów okien, itp. To nie jest przebudowa, tylko remont. Nie przywracamy wyglądu domu z XVIII wieku (nad drzwiami do części gospodarczej widnieje data 1764), tylko z czasów jego przebudowy w XIX wieku. Na ścianie szczytowej są dwa wejścia do przedwojennej piekarni i sklepu, a w środku kilka pomieszczeń, dawniej sklepowych. Zostawiamy je i bardzo duże, wystawowe okna od strony ulicy, aby był ślad po historii tego budynku. W latach powojennych na miejscu sklepu działała klubo-kawiarnia „Płomyk”. Na dachu jest blacha w dobrym stanie. Ścianę boczną i szczytową pokrywa łupek w trzech kolorach: grafitowym, szarozielonkawym oraz wrzosowym na obramowaniach okien, na pasie pod samym dachem, na elementach geometrycznych i na dole ściany. Udało mi się zdobyć łupek w tych kolorach z rozbiórki. Grafitowe zachowały się



Wesele w rodzinie przedwojennych właścicieli

świetnie, bo to bardzo twarda skała. W najgorszym stanie jest łupek szarozielony, zwietrzały, część jego rozpada się w rękach. Tego łupka już się w Europie nie wydobywa. Znalazłem trochę grubszy z

rozebranego domu. Mam narzędzia do łupka: nożyce, młotek, kowadełko. Naj-

zabezpieczenia łupka. Pomaga mi tutaj moje doświadczenie w renowacji moich zbiorów i cierpliwość, jaką sobie wyrobiłem. Nie mogę się doczekać wiosny, aby zacząć wymianę łupka i zmienić daszek na przybudówce. To będzie bardzo żmudna praca. Remont zajmie na pewno wiele lat. Skonsultowaliśmy się ze specjalistami od renowacji zabytków, którzy przewidzieli na to 10 lat. Ja liczę na mniej. Najtrudniej jest z pomocnikami. Mam na szczęście do pomocy takiego, który zajmował się remontami starych domów. No i sam muszę zakasać rękawy...

**Nie szkoda Panu życia w dużym mieście?**

- Mieszkam tu już od ponad roku. Nie czuję się z tego powodu nieszczęśliwy. Bardzo lubię małe miasta. Wiele lat, jako dziecko i młody człowiek, spędzałem miesiąc wakacji w małym miasteczku z zamkiem i Rynkiem (w Rawie Mazowieckiej) u cioci - siostry mojego dziadka. Wakacje to było zbieranie grzybów, chodzenie na targ, zwiedzanie i zabawy w murach zamku. Ja wyobrażam sobie dobre życie w miejscu, gdzie nie ma dużego miasta i gdzie widać zamek. Musi być jakiś zamek w pobliżu. Tutaj we wsi są bardzo mili ludzie, z ciekawymi historiami. Spotkałem się z przyjaznym przyjęciem. Powoli poznaję ludzi. Pani Helenka upiekła mi pyszną szarlotkę na imieniny. To w Warszawie jest nie do pomyślenia, takie rzeczy się nie zdarzają, nawet wśród dobrych sąsiadów.

W trakcie rozmowy z panem Andrzejem zerkałam z ciekawością na stojący w pobliżu zakurzony i lekko zardzewiały przedmiot. Na koniec obejrzałam nieduży, domowy projektor na korbkę - jeszcze przed renowacją, ale już widąc, że to będzie kolejny, piękny przedmiot w jego kolekcji.

**Wioleta Michalczyk**



**Obecny widok domu**

bardziej jest dla mnie fascynujące robienie różnych kształtów przy pomo-



cy tych dwóch ostatnich, jak to robiono przed dwoma wiekami. Użycie noży-



**Klubo-kawiarnia w miejsce sklepów**

nie daje takiej satysfakcji. Na domu jest 5 różnych kształtów łupka. Kupiłem też konsolidator do kamienia do pokrycia i

## Powrót do tradycji

W ramach Globalnej Sieci Geoparków UNESCO chronimy i promujemy dziedzictwo w lokalne pod akronimem ABC, czyli **A**biotic - przyroda nieożywiona, **B**iotic - przyroda ożywiona oraz **C**ulture - to tu jest miejsce dla materialnego i niematerialnego dziedzictwa kultury.

Właśnie o tej ostatniej kategorii chciałabym bym dziś opowiedzieć, zwłaszcza, że mamy powody do świętowania - 6 listopada odbyła się gala "Zabytek - nie zapomnij / Denkmal - denk mal dran", podczas której przyznano nagrody za najlepiej wyremontowane obiekty zabytkowe przy zastosowaniu tradycyjnej technologii, maksymalnym poszanowaniu oryginalnej tkanki, w duchu zrównoważonego rozwoju, co wiąże się ze stosowaniem niskoemisyjnych i przyjaznych dla środowiska materiałów. Komisja konkursowa, w której znaleźli się przedstawiciele Stowarzyszenia na Rzecz Pielęgnowania Sztuki i Kultury Śląska (VSK), Fundacji OP ENHEIM oraz polsko-niemieckiej Fundacji Ochrony Zabytków Kultury (DPS) wyróżniła w tym roku dom przysłupowy w Proboszczowie za wzorcowy remont.

Udało mi się namówić jego właścicieli, polsko-angielskie małżeństwo, Annę i Paula na krótki wywiad. Szczególnie interesowały mnie powody, dla których zdecydowali się osiedlić się właśnie w Górach Kaczawskich oraz jak, w praktyce, przebiegał remont domu przysłupowego. Ze względu na Paula, który uczy się jeszcze języka polskiego, roz-



**Chatka Zimorodka - tradycyjny dom przysłupowy w Górach Kaczawskich w cieniu starej lipy.**

mawialiśmy po angielsku. Poniższy tekst jest zatem moim, nie zawsze doskonałym i wiernym tłumaczeniem. Za moje potknięcia proszę o wybaczenie moich Rozmówców oraz Czytelników.

**K.S.** Dlaczego wybraliście akurat Krainę Wygasłych Wulkanów na swój dom? Czy nie myśleliście, że są w Polsce bardziej spektakularne krainy, chociażby Bieszczady czy Tatry?

**Anna i Paul:** Początkowo szukaliśmy domu w moich rodzinnych stronach, na Żuławach, w okolicach Gdańska. Uznaliśmy jednak, że dynamiczne zmiany klimatyczne mogą sprawić, że w perspektywie wielu lat, Delta Wisły może być trudnym terenem dla zachowania zabytkowego domu. Poza tym absolutnie oczarowało nas zróżnicowanie krajobrazu w Górach Kaczawskich oraz dziewiczość przyrody. Zdecydowanie poczuliśmy, że w tej społeczności, która sama jest przecież napływowa, choć w nieco większej perspektywie czasu, będziemy czuć się mile widziani. W naszym odczuciu ludzie mieszkający w Bieszczadach, czy tatrzańscy górale tworzą społeczności bardziej hermetyczne, gdzie "obcym" będzie trudno znaleźć zrozumienie i pozytywne przyjęcie. Niesamowite walory kulturowe Dolnego Śląska również złożyły się na naszą decyzję. Znaleźliśmy tu więc wszystko czego szukaliśmy - zapierające dech w piersi krajobrazy, przyrodę, wspaniałe zabytki i otwartych, przyjaznych ludzi. Nie było więc wątpliwość, że decydujemy się na "Kaczawskie".

**K.S.** Jak wspominać pierwszy kontakt z tym domem?

**Anna i Paul:** Jeździliśmy po okolicy w poszukiwaniu domu na sprzedaż. Interesowało nas tradycyjne drewniane budownictwo. Dom w Proboszczowie, a właściwie jego dramatyczny stan początkowo nas zasmucił. Dach praktycznie nie istniał, z góry po schodach spływały potoki wody. Główna izba na parterze służyła spotkaniom amatorów tanich trunków, którzy dewastowali i rozkradli to, co jeszcze zostało. Chcieliśmy opuścić to miejsce, ale na drodze stanął nam jeleń. Absolutnie nie czułem się spłoszony naszą obecnością. Wręcz przeciwnie - przez dłuższą chwilę nie mógł się zdecydować czy przejść przez drogę, czy zawrócić. W ten sposób zatrzymał nas tu na dłużej. Odebraliśmy to jako znak, że to tu powinniśmy zostać. Dom znajdował się w tak złym stanie, że właściciel działki zakładał, że ktoś kupi ją raczej dla samego gruntu, a dom usunie i wybuduje nowy....

**K.S.** A jednak zdecydowaliście się na remont. Skąd wiedzieliście, jak się do tego zabrać?

**Anna i Paul:** Mieliśmy już pewną świadomość wyniesioną z lektury chociażby angielskiego poradnika - Old house Handbook. To wydawnictwo zawierające zbiór wytycznych remontowych dla właścicieli zabytkowych domów autorstwa Society for Protection of Ancient Buildings. Wiedzieliśmy zatem, że w starym domu musimy zastosować tradycyjne technologie - dla jego bezpieczeństwa i długowieczności, dla trwałości wykonanych prac i dla zachowania równowagi jego mikroklimatu. Wiedzieliśmy zatem, że odpada cement

czy pianka. Pracowaliśmy z naturalnymi materiałami - wapnem, gliną, drewnem, słomą. Większość prac, np. układanie starej dachówki, wykonaliśmy samodzielnie. Nie jestem budowniczym (Paul), ale wiedziałem, że wiejskie chaty nie były efektem prac inżynierów, a często ich właścicieli, lokalnej społeczności. Tradycyjne techniki budowlane mają do siebie to dobrodziejstwo, że można się ich w miarę szybko nauczyć. Ma to duży wpływ na ekonomiczną stronę tego przedsięwzięcia - jeśli wyceniony na 100 000 zł, wtedy, 5 lat temu, dach, możesz ułożyć sam, po pewnym przeszkoleniu to robi to duża różnica w ogólnym koszcie remontu. Spotykaliśmy oczywiście też złych doradców, którzy, przyzwyczajeni do nowoczesnych technologii, chcieliby wszystko wymienić, wylać beton, zaizolować .... My z kolei chcieliśmy zachować wszystko, co możliwe, np. te drewniane drzwi, które zostawiliśmy w takim stanie, w jakim były. Walczyli-



**Geopółka - prezentacja lokalnych produktów z Krainy Wygasłych Wulkanów.**



**Jedna z czterech sypialni - wygląda, jakby spało się tu błogo.**

Śmy też ze złodziejami, dlatego właścicie wie od pierwszych chwil remontu zdecydowaliśmy się zamieszkać na miejscu

stare drzewa, w tym wspomniana lipa, dają nam latem cień i chronią przed przegrzaniem. Wbrew obiegu opinii, wyciągają nadmiar wilgoci z gruntu, poza tym karmią pszczoły, które dają nam miód. Zresztą wiemy, że lipy były zasadzone przez dawnych, przedwojennych właścicieli w tym celu.

**K.S.** Właśnie, czy napotkaliście na jakieś ślady "dawnego życia" swojego domu podczas remontu?

**Anna i Paul:** Tak, udało nam się nawiązać kontakt z ostatnim przedwojennym mieszkańcem, który opuścił dom w 1945

r. w wieku kilku lat. To od niego wiemy, dlaczego ta stara lipa jest tak ważna. Przepuszczamy

że w domu pozostało wiele pamiątek po dawnych właścicielach, ale "zniknęły" zanim my się tu pojawiliśmy. Podczas remontu pod

drewnianą podłogą znaleźliśmy dokumenty dotyczące domu, jednak były już zbyt zniszczone (do środka przecie

ciały ciągle lała się woda), aby możliwe było ich odczytanie. Czujemy jednak, że dom zamieszkiwa

ło wcześniej wiele pokoleń, po których pozostały ślady takie, jak np. półksiężycy wryte na ościeżnicy drzwi do głównej izby. Dom powstał najprawdopodobniej w 1790 r., natomiast na zwr

otulaku kamiennego portalu wejściowego jest późniejsza data (1818 r.), która naszym zdaniem związana jest

z pierwszym remontem/przebudową. Drewniany dom mógł ulec zniszczeniu lub nawet spaleni

u podczas wojen napoleońskich w tym regionie.

**K.S.** Ten dom jest otwarty na gości?

**Anna i Paul:** Tak, dla naszych gości przygotowaliśmy cztery sypialnie, niedługo uruchomimy na podwórku saunę ogrzewaną drewnem. Zapraszamy do kontak-

tu, wszyscy mogą poczuć ten klimat.

**K.S.** A czy śledzicie działania związane z powołaniem Geoparku Kraina Wygasłych Wulkanów? Czy wiecie, że aspirujemy do przyjęcia do Globalnej Sieci Geoparków UNESCO?

**Anna i Paul:** Tak! Śledzimy te działania i kibicujemy im bardzo. Zawodowo zajmujemy się właśnie turystyką (**Anna**). Teraz, kiedy dzieci są już trochę większe, chciałabym wziąć aktywny udział w działaniach budujących rozwój turystyki w regionie. Już teraz zresztą bierzemy czynny udział w geoparkowych in-



Dom w początkowej fazie remontu.



Wnętrze izby na parterze w najstarszej części domu

cjatywach. Znajdziecie u nas np. geopółkę, na której prezentujemy produkty lokalne.

**K.S.** Dziękuję bardzo za rozmowę i za możliwość poznania historii tego domu i jego drugiego już życia z Waszej perspektywy.

**Katarzyna Sielicka**

W domu udało się zachować oryginalne drzwi bez zbędnych ingerencji

- bez prądu, bez studni. Ale mieliśmy też szczęście. Spotkaliśmy pasjonatę, który podzielał nasze poglądy na remonty starych domów, Witka Podsiadło z szachulec.pl. To on niestrudzenie doradzał nam w trudnych tematach.

**K.S.** Widzę też, że uszanowaliście bezpośrednio otoczenie domu. Nie usunęliście potężnej starej lipy rosnącej tuż przy nim. Ludzie zazwyczaj widzą zagrożenie w takich drzewach - boją się, że będą "trzymać" wilgoć przy domu, a podczas burzy przewrócą się na niego....

**Anna i Paul:** Nie, nie boimy się drzew, czy strumienia przepływającego pod domem. Uważamy, że przyroda otaczająca dom jest jego integralną częścią. Te



Tegoroczne trofeum - nagroda w konkursie "Zabytek - nie zapomnij".

# Kryminalny tydzień w bibliotece

**Krzysztof Koziółek**

W listopadzie Miejska Biblioteka Publiczna zorganizowała dwa wieczory z autorami powieści kryminalnych, którym nadała wdzięczne nazwy: „Kryminalna zbrodnia w kuchni” oraz „Wokół komedii kryminalnych”.

**Kryminalna zbrodnia w kuchni**

Jako pierwszy z Nowej Soli przyjechał do Złotoryi **Krzysztof Koziółek**, były dziennikarz, obecnie autor poczytnych powieści kryminalnych, których napisał już kilkanaście. Wchodzących na spotkanie zaskoczyła scenografia pomieszczenia. Oto na wykładzinie zobaczyli narysowaną białym kolorem sylwetkę martwego człowieka, zapewne ofiarę zbrodni, jak to w kryminale, a miejsce zbrodni opasano żółtą taśmą ostrzegawczą z czarnymi napisami CRIME SCENE ▪ DO NOT CROSS (miejsce zbrodni, nie wchodzić). Od razu powiało grozą i stworzyło pożądaną atmosferę. Swoje wypowiedzi autor uzupełniał slajdami z okładkami swoich książek.

Podczas wieczoru autorskiego były poruszane zagadnienia coraz większej popularności powieści kryminalnych, popularnie zwanych *kryminatami*. Składa się na to kilka powodów. Obecne *kryminaty* prezentują o wiele wyższy poziom niż jeszcze na przykład piętnaście lat temu. Dotyczy to nie tylko samej fabuły, ale też wyglądu książek, których okładki starają się swoją oryginalnością przyciągnąć coraz więcej czytelników. Również czcionka zyskuje inny, lepszy, wygodniejszy krój.

Słuchacze dowiedzieli się, że Krzysztof Koziółek jest zawodowym pisarzem, co oznacza, że utrzymuje się wyłącznie z pisania książek. Ponadto jest właścicielem wydawnictwa, dzięki czemu może nadawać swoim książkom taki wygląd, jaki chce. Pisarz uchylał rąbka tajemnic

o tym, co zrobić, aby przyciągnąć uwagę czytelników. Oto na spotkanie przywiózł ze sobą niezwykle płaszcz. Mianowicie został uszyty z... okładek książek. Wyłącznie swoich książek. Gdy – na prośbę zgromadzonych – Krzysztof Koziółek ubrał się w ten płaszcz, okrzykom zachwytów nie było końca. Zresztą spotkanie od początku było bardzo żywe, z sali bez przerwy padały pytania. Na pewno był to udany wieczór autorski.

**Wokół komedii kryminalnych**

Drugie z kolei spotkanie odbyło się z **Małgorzatą Starostą**, która przyjechała z Wrocławia. O ile książki Krzysztofa Koziółka są mrocznymi, ociekającymi krwią powieściami, często w modnym ostatnio stylu skandynawskim, to utwory Małgorzaty Starosty pozostają komediami, gdzie zagadki kryminalne okraszono humorem, a przy okazji porusza się tematy budowania relacji, opowieści o sile rodziny, przyjaźni i miłości. Sama autorka podczas spotkania mówiła, że nie zależy jej na trupach ociekających krwią, nigdy też nie opisuje zwłok, lecz przede wszystkim opowiada o zawiłościach śledztwa z humorem i z przymrużeniem oka.

Jej twórczość jest nawiązaniem do książek Joanny Chmielewskiej, które skrzępi się humorem i ironią, przy nich można zaśmiewać się do łez. Wraz ze śmiercią tej autorki w 2013 roku w polskiej komedii kryminalnej powstała pustka. Na szczęście zapełniła ją z powodzeniem młodsza o całe pokolenie Małgorzata Starosta. W jej powieściach dialogi per-

lą się, sypią skry, eksplodują, wywołując u czytelnika niepojęte wybuchy śmiechu. Wszystko napisane wypieszczoną, piękną polszczyzną. To rozrywka literacka na najwyższym poziomie dla miłośników opowieści o zbrodniach z przymrużeniem oka.

Dodatkowo w wielu jej książkach akcja dzieje się we Wrocławiu, co jest bardzo bliskie nam, złotoryjanom. Pisarka sama o sobie mówi, że jest Dolnoślązatką, ale jej korzenie tkwią na Podlasiu, gdzie również osadza część akcji swoich powieści. Mistrzowsko wykorzystuje przy tym swoją wiedzę *niedyplomowanej etnologii* (jak sama o sobie mówi) podczas opisu obyczajów i tradycji tego regionu.

Książki Małgorzaty Starosty mają ogromną poczytność, świetnie się sprzedają, dlatego autorka postanowiła żyć z pisania książek i teraz jest zawodową pisarką.

Bardzo przyjemnie słuchało się młodej, sympatycznej kobiety, która z ogromną swobodą i piękną polszczyzną opowiadała o swojej twórczości, o jedenaścioipółletniej córce, która pomaga jej sprzedawać książki i o wielu, wielu innych sprawach. Na koniec autorka wyraziła nadzieję, że spotkamy się na Targach Dobrych Książek, które odbędą się na początku grudnia w Hali Stulecia, gdzie będzie prezentować i sprzedawać swoje książki.

Wieczory autorskie w Miejskiej Bibliote-



Spotkanie autorskie z Małgorzatą Starostą

ce Publicznej w Złotoryi to jedne z nielicznych wydarzeń w naszym mieście, gdzie ma się możliwość obcowania z wysoką kulturą, żywym słowem i piękną polszczyzną. To prawdziwa uczta intelektualna. Szkoda tylko, że na te spotkania nie przychodzi zbyt wiele osób. Lecz, jak wiadomo, to problem nie tylko nasz, złotoryjski, lecz ogólnopolski, a nawet ogólnoswiatowy. Ale to jest temat na zupełnie inną opowieść.

**Agnieszka Młyńczak**  
 **MBP w Złotoryi**

## Wywodzimy się z policji



Krystyna Klewko, Jerzy Dawid, Franciszek Ilnicki, Marek Maślany, Jan Lesik.

Z emerytami policyjnymi umawiam się na rozmowę w ich biurze, w Komendzie Powiatowej Policji w Złotorzy. W rozmowie uczestniczą: Jan Lesik – prezes koła, Krystyna Klewko – wiceprezes, Marek Maślany – sekretarz, Franciszek Ilnicki – skarbnik oraz Jerzy Dawid – członek. Mówi Jan Lesik:

– Koło Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policjnych zaczęło działać w Złotorzy 17 maja 1999 roku, po transformacji ustrojowej. Przed tą datą nie było w policji żadnych związków zawodowych i zrzeszeń. Działamy w ramach policji, ponieważ wywodzimy się z policji. Mamy statut nadany nam przez zarząd główny i należymy do federacji służb mundurowych.

Złotoryjskie koło zrzesza obecnie 18 kobiet i 45 mężczyzn. Średnia wieku jest bardzo wysoka, na pewno więcej niż sześćdziesiąt lat. To przeważnie byli policjanci, chociaż są też wdowy po policjantach.

– Bo młodszy nie chcą się zrzeszać, prosiła pani – wyjaśnia Jan Lesik – mimo że wielu z nich to osoby w wieku 48 czy 51 lat. Nie są zainteresowani integracją.

Koło Emerytów i Rencistów Policjnych w Złotorzy zajmuje się między innymi takimi sprawami, jak pomoc kolegom w wypełnieniu wniosku o dopłatę do kosztów leczenia, do wczasów leczniczych dla tych, którzy mają bardzo małe

dochody. Wnioski te są potem wysyłane do sekcji socjalnej Komendy Wojewódzkiej, która przelewa na konta środki na dopłaty.

Wypowiedź Jana Lesika uzupełnia Jerzy Dawid:

– Odwiedzamy w domach naszych członków, którzy ze względu na stan zdrowia nie są w stanie wyjść. Osobom, które mają okrągłe rocznice urodzin, wręczamy listy gratulacyjne i odwiedzamy je, bądź wręczamy te życzenia podczas spotkań integracyjnych. Zbliża się Boże Narodzenie i stowarzyszenie tradycyjnie szykuje kartki z życzeniami dla swoich członków. Na każde święto Międzynarodowego Dnia Kobiet 8 Marca naszym paniom wręczamy kartki z życzeniami i czekoladki.

Spotkania członków stowarzyszenia odbywają się cyklicznie co kilka miesięcy. To dla nich bardzo ważne, bo są ze sobą związani emocjonalnie. Wszak wszyscy wywodzą się z tego samego resortu spraw wewnętrznych. Spotkania integracyjne odbywają się na przykład przy grillu, z okazji jakiejś rocznicy, są też organizowane wycieczki.

Co roku, w dzień zmarłych, członkowie stowarzyszenia odwiedzają groby swoich kole-

gów, aby zapalić znicze.

– Uważam, że to jest potrzebne i nam, i ich rodzinom. To bardzo ludzkie – podkreśla Jerzy Dawid.

Podczas uroczystości państwowych koło zawsze wystawia delegację, która składa wieńce przy pomnikach. Wieńce, co ważne, finansowane są wyłącznie ze składek członkowskich. Żałują, że nie mogą się zaprezentować w mundurach, jak na przykład wojskowi w stanie spoczynku. Policjant bowiem wraz z końcem służby zdaje sorty mundurów. Teraz nie mają żadnych stopni, są równi, wszyscy są tylko emerytami.

Stowarzyszenie w Złotorzy od samego początku prowadziło kronikę. Opasła księga oprócz zdjęć zawiera wiele wpisów z podziękowaniami oraz listów gratulacyjnych za trud i wysiłek włożony w pracę koła, za rezultaty w postaci integracji środowiska, za tworzenie atmosfery przyjaznej współpracy i wzajemnej pomocy tym, którzy jej potrzebują.

Koło stowarzyszenia ma swoją siedzibę w gościnnych progach ich macierzystej firmy, czyli w Komendzie Powiatowej Policji przy ul. Tadeusza Kościuszki 5 w Złotorzy, gdzie – zgodnie z grafiką – pełnione są dyżury raz w tygodniu. Dano im do dyspozycji niewielki pokój, gdzie mogą wypełnić dokumenty, aby pomóc swoim kolegom w sprawach urzędowych, wręczyć uroczystość na przykład list gratulacyjny z okazji jubileuszu, czy zwyczajnie spotkać się, aby pogadać przy kawie o różnych spr-



wach. Zarząd zgodnie twierdzi, że ich relacje z poprzednimi komendantami układały się zawsze bardzo dobrze. Wyrażają też wdzięczność i podziękowanie obecnemu komendantowi Sewerynowi Baranowskiemu za dobrą współpracę.

W pokoju stowarzyszenia na małym biurku stoi komputer z odzysku, „załatwiony” przez panią Krysię, jak zgodnie twierdzą koledzy, i drukarka zakupiona ze składek stowarzyszenia. Obok szafa pancerna na dokumenty, biurko dla prezesa, czajnik i kilka krzeseł. Przy drzwiach pyszni się duży plakat na niebieskim tle z nadrukiem w otoku: STOWARZYSZENIE EMERYTÓW I RENCISTÓW POLICYJNYCH. W środku, na tle charakterystycznej ośmioramienną gwiazdy policyjnej, na biało-czerwonej wstędze napis: WIERNI OJCZYŹNIE. W samym środku gwiazdy herb powiatu złotoryjskiego. Na półce obok wyeksponowano różne pamiątkowe maskotki i gadżety. Pokój jest schludny, zadbane i przytulny.

Ciekawym szczegółem w biurze jest ga-

leria portretów. Oto na dużej pościeli białej ściany umieszczono siedemnaście zdjęć mężczyzn w mundurach policyjnych. To wizerunki wszystkich komendantów policji złotoryjskiej od początku jej powołania. Ostatni portret przedstawia aktualnego komendanta, Seweryna Baranowskiego. W pewnej odległości są jeszcze trzy zdjęcia, to prezesi stowarzyszenia: Stanisław Bogus, Zygmunt Król i obecny – Jan Lesik. Żadne stowarzyszenie policyjne oprócz Złotorzy nie ma takiego zbioru, więc złotoryjanie są niesłychanie dumni ze swojej galerii.

– Z tymi portretami to było tak – zaczyna opowieść Krystyna Klewko – Zaczęliśmy je gromadzić od początku naszego powstania. Najpierw zaczął je przynosić pierwszy prezes, Stanisław Bogus. Potem pozyskiwaliśmy fotografie od rodzin komendantów, ale nie zawsze było to łatwe. Gdy nie mogliśmy dotrzeć do rodzin, to pisaliśmy do IPN-u z prośbą o udostępnienie zdjęcia. Zależało nam na wizerunkach w mundurach. Niestety w naszej galerii zdjęcie pierwszego

komendanta Tadeusza Chodyry zostało wycięte ze ślubnej fotografii, bo innej nie udało się znaleźć. No i jeszcze Jan Tokarski jest po cywilnemu, bo twierdził, że nie ma zdjęcia w mundurze, więc jego portret pozyskaliśmy z plakatu wyborczego. Reszta komendantów na portretach prezentuje się w mundurach.

Moi rozmówcy ze smutkiem i troską mówią o braku poczucia wspólnoty między nimi i młodymi funkcjonariuszami. Młodzi nie czują tej więzi, nie utożsamiają się z nimi, starymi milicjantami. Sądzą w swojej naiwności, że nigdy nie będą starzy, a emerytura w ogóle ich nie dotyczy. Natomiast rodziny członków stowarzyszenia, z których część też jest policjantami, dużo rozumieją. Wiedzą, że działalność stowarzyszenia ma głęboki sens, więc wspierają swoich ojców i dziadków psychicznie i emocjonalnie. Ci mądrzy wiedzą, że emerytura czeka każdego.

 **Z emerytami policyjnymi rozmawiała Agnieszka Młyńczak**

## Okiem humanisty...



..., czyli o zderzeniu pierwszoklasisty z licealną rzeczywistością.

Z całą pewnością mogę stwierdzić, że uczeń szkoły podstawowej poniekąd wydaje na siebie wyrok. Co mam na myśli, pisząc to słowo? Oczywiście to, że - na bazie własnych zainteresowań związanych z jakimiś przedmiotami szkolnymi - zmierza ku wyborowi jakiegoś profilu w liceum lub technikum. I choć słowo „wyrok” może wydawać się nadużyciem, to jednak postaram się udowodnić, że wcale takim słowem nie jest. Przedstawię swoje wrażenia oraz doświadczenia po ponad trzech miesiącach nauki na profilu humanistycznym.

Profil humanistyczny to ten, na którym największy nacisk kładzie się na przedmioty - jak sama nazwa mówi - huma-

nistyczne. Dla mnie, jako jeszcze ówczesnego ucznia klasy ósmej, brzmiało to wręcz idealnie. Polski i historia? Coś, co kocham i z pewnością pokocham jeszcze bardziej przez rozszerzenia.

Tak wyglądało to w teorii. A praktyka jednak okazuje się zupełnie inna. Nie chodzi mi o wyżej wymienione przedmioty, gdyż one nadal są tym, co kocham, jednak wypada tutaj spojrzeć na coś innego. Oczywiście, z obiektywizmem wspólnego wiele to mieć nie będzie, gdyż przecież jestem na kierunku, który z założenia ma nie darzyć sympatią przedmiotów ścisłych. Jednak coś tu nie gra. A mianowicie jako uczeń pierwszej klasy, co jeszcze raz podkreślę - na profilu humanistycznym - dużo więcej czasu muszę poświęcać na przedmioty ścisłe. Ktoś może odpowiedzieć, że przecież taka fizyka jest tylko raz w tygodniu, owszem, jednak, gdy weźmiemy pod uwagę wszystkie przedmioty, których nie obejmują rozszerzenia, to wychodzi nam ogrom go-

dzin w tygodniu. Czy według mnie są one uczniom niepotrzebne? Oczywiście, że są. Każdy powinien znać podstawy budowy człowieka czy wiedzieć, gdzie na mapie świata leży Polska, lub też posiadać biegłość rachunkową, która pozwoli wyliczać działania matematyczne. Jednak to, co naprawdę jest nauczaniem na tych przedmiotach mocno przeraża tę podstawową wiedzę. Wręcz czasem można odczuć, że uczymy się rzeczami z rozszerzonych podręczników. Tak jednak nie jest. Niestety, zdecydowaną większość czasu poświęcam na przedmioty, których nie będę zdawać na maturze i uczyć się ich na zasadzie 3xZ (zakuć, zdać, zapomnieć), a wolałbym mieć komfort uczenia się tego, co jest w profilu wiodące.

Czy żałuję teraz wyboru profilu, o którym kiedyś marzyłem? Zdecydowanie nie! Czy czuję, że mam za mało czasu na kluczowe przedmioty - zdecydowanie tak, lecz liczę, może niesłusznie, że wraz z upływem kolejnych miesięcy to się odmieni.

Nie obwiniam o to szkoły, bo wiem, że w innych jest tak samo, ale widzę, że to duży błąd systemu i podstaw programowych, które zakładają, że młody człowiek jest w stanie przyswoić sobie tyle treści i jeszcze mieć czas na zwyczajne życie i rozwijanie swoich zainteresowań.

 **Jakub Rębisz LO Złotorzy**



Nie wiem, czy już wszyscy zauważyli, że przyszedł kryzys. Może nie było szans, by to dostrzec, bo pełne parkingi przed centrami handlowymi i marketami jeszcze mogą stwarzać pozory prosperity, jeszcze na konta wpływa wypłata, a szef nie wręcza wypowiedzenia. Nie chciałybyśmy być Kasandrą, ale dla mnie to tylko pudrowanie mocno ospowatej twarzy nieuniknione.

Moje czarne myśli pewnie biorą się z tego, że jako część tak zwanej sfery budżetowej i na dodatek najbardziej zapomnianego jej ogniwa, nie dostałam podwyżki od kilkunastu miesięcy, podwyżki, która sprawiłaby, że nie czułabym się pariasem społecznym. Podwyżki, która choć w mały sposób, ale złagodziłaby skutki inflacji, wskutek której produkty żywnościowe zdrożały w ciągu roku dwukrotnie.

Na szczęście mam już samodzielne, zarabiające na własne utrzymanie dzieci, mam męża, którego pensja jest bardziej realna wobec wymagań rynku niż moja. Dlatego jeszcze daję radę. Jednak już mnie dopadła fobia przed wizytą na stacji benzynowej, u dentysty (nie z powodu bólu) albo w markecie, kiedy trzeba zrobić zakupy na weekend lub gdy trzeba kupić opał. Powoli, co do mnie niepasujące, włącza mi się tryb oszczędzania. Zaczęłam od ciuchów. Do tej pory byłam bardziej podatna na kuszące mnie reklamy sukienek, butów, nie przechodziłam obojętnie obok wystaw sklepowych, gdzie manekiny wołały i wabiły mnie swoimi outfitami. Od kilku tygodni patrzę na te obrazy jak w dzieciństwie na katalogi Quelle i myślę: kiedyś to sobie kupię. Teraz mi to niepotrzebne, bo szafa i tak się nie domyka, a de facto chodzę ciągle w tych samych sukienkach lub spodniach, nie zadając sobie trudu wygrzebywania z pakamery innych, z których niedługo pewnie „wyrosnę” i wylądują w kontenerach PCK.

Rzadziej niż jeszcze parę miesięcy temu korzystam z dobrodziejstwa lokalnych

restauracji i kawiarni. Rzadziej chodzę do kina. Odwlekam badanie USG (wiem, nieroztropnie), na które muszę wydać jednorazowo pokaźną kwotę i prywatną wizytę u lekarza, wiem, że pakiet medyczny mi tego nie zrefunduje. Rozważam nawet, czy nie zrezygnować z tego pakietu, bo od kiedy go mam i comiesięcznie na niego płacę, nie skorzystałam ani razu z ulg.

W tym roku, jak nigdy od 9 lat – ze wstydem muszę przyznać – nie zdecydowałam się na wsparcie rodziny w Szlachetnej Paczce. Choć od początku roku ze swojego budżetu i tak dużo wydałam na ogólnie pojętą filantropię, więc się po części rozgrzeszam.

Z niepokojem myślę o wydatkach świątecznych, o kupowaniu prezentów, o styczniu, wsłuchując się w komunikaty o podniesieniu stóp procentowych lub o poziomie inflacji. Czy tylko ja?

O to, jak obecna sytuacja wpływa na nasze poczucie bezpieczeństwa, nasze zachowania konsumenckie i myślenie o przyszłości, zapytałam znajome.

#### Ewa, mama trójki dzieci

Wysoka inflacja wpisała się już na dobre w budżet naszej rodziny. Wzrost cen jest dla mojego gospodarstwa domowego ogromnym obciążeniem. Niedawno wróciłam do sklepu twierdząc, że mnie oszukano. Kupiłam produkty pierwszej potrzeby, typu: mleko, chleb, jajka itp. (wliczając magazyn „Świnka Peppa” w cenie 16 zł!, który moja trzylatka zawsze upycha do koszyka). Zapłaciłam 100 zł a kasjerka wydała mi niespełna 2 zł. Po wspólnej analizie porównań, doszliśmy do konsensusu, iż wszystkie pozycje na rachunku się zgadzają - „inflacja mnie oszukała” a nie wiejski sklepik na rogu... Dużym, miesięcznym obciążeniem dla mojej rodziny są też wydatki związane z utrzymaniem domu, opłatami za energię i transport. Pieniądże tracą swoją wartość, coraz mniej możemy za nie kupić, nie możemy zapewnić sobie bezpieczeństwa na takim po-

ziomie jak dotychczas. W okresie jesienno – zimowym moją rodzinę trapią niezliczone choroby, a wizyty w aptece stały się niemalże codziennością. Niestety, wysokie ceny dotarły także do aptek, a sztywne marże potęgują ich wzrost – zwłaszcza leków nierefundowanych. Wysoka inflacja zjada nasze oszczędności, a kredyt hipoteczny ma coraz wyższe oprocentowanie powodujące systematyczny wzrost wartości odsetek (jedno z nas pracuje jedynie na opłacenie kredytu). Obawiam się, jak będzie wyglądała przyszłość mojej rodziny. Mówi się, że pieniądze szczęścia nie dają, lecz są ważnym elementem kształtującym świadomość bezpieczeństwa... niekiedy sytuacja finansowa nie pozwala nam normalnie funkcjonować i odbiera radość z codzienności. Kupujemy tańsze zamienniki droższych produktów i zrezygnowaliśmy z planów związanych z remontem domu. Zmieniliśmy także swoje plany wakacyjne – zdecydowaliśmy się na tańsze wakacje w kraju. Staramy się jednak zachować perspektywę normalności, takiego zwykłego życia. Nie warto oszczędzać na rzeczach/usługach (zakup nowej książki czy wyjście do teatru i kina), które sprawiają nam radość: Carpe diem!

P.S. W tym roku prezentów pod choinką nie zabraknie, gdyż listy do Św. Mikołaja zostały już dawno wysłane. Mam nadzieję, że Święty zagra na nosie inflacji!

#### Alicja, nauczycielka, 32 lata

Jak to wygląda w gospodarstwie domowym dwóch osób w wieku 32 lat? Kiedy jest się małżeństwem nauczycielki i programisty? Rata kredytu pofrunęła w górę dawno temu, ceny rosną dalej. Zrezygnowaliśmy z masła (stosujemy jakieś zamienniki margarynowe), nie włączamy ogrzewania (podwójne skarpety i kocyki), do pracy wciąż dojeżdżam 7 km rowerem, mimo przymrozków. Z wielbicielei kraftowego piwka zamieniliśmy się teraz w konsumentów "koncerniaków" w czteropak. Prezenty będą na pewno na mikołajki, ze świętami się wahaamy: może jakiś drobiazg do 50 złotych? No i staramy się odrzucać zaproszenia rodzin, żeby nie wydawać pieniędzy na prezenty.

A wszystko to nie dlatego, że głodujemy czy coś podobnego, ale boimy się przyszłego roku i kolejnych podwyżek, więc chcemy mieć zabezpieczenie. Bo nic nie jest pewne...

#### Natalia, prowadzi swój biznes, mama dwójki dzieci

Jeżeli chodzi o wpływ inflacji na moje codzienne życie, to stałam się bardziej świadomą konsumentką. Sprawdzam i porównuję ceny, zastanawiam się dwa razy, zanim daną rzecz włożę do koszyka. Skupiam się na rzeczach potrzebnych do codziennego funkcjonowania

niż na "zachciankach". Mam określoną kwotę pieniędzy, którą wkładam do portfela idąc na zakupy, to jest mój budżet na dany dzień i nie mogę go przekroczyć. Przestałam kupować nowe ubrania pod wpływem chwili. Wolę te pieniądze odłożyć i zainwestować w rozwój swojej działalności.

#### Dorota, właścicielka firmy spożywczej w większym mieście

W swojej pracy nie zauważyłam, żeby klienci ograniczali swoje zakupy. Kupują i to kupują dużo. Może ludzi nie stać na duże wydatki: auta, mieszkania, więc robią sobie małe przyjemności... taka moja mała obserwacja.

Myślę, że nie jest tak źle. Nie mówię o emerytach czy ludziach rzeczywiście niezamożnych. Jesteśmy jeszcze społeczeństwem bogatym. Taki przykład:



Po rekordowo ciepłym październiku przyszedł zimny grudzień. Dni stały się szarobure, powyciągaliśmy z głębokiego szafy puchowe kurtki, wełniane szaliki, rękawiczki, czapki. Krótko mówiąc, przystosowaliśmy się do atmosferycznych zmian, jakie oferuje nam klimat. A jak w tym czasie radzą sobie nasi milusińscy? Na szczęście zwierzęta też mają na zimę swoje sposoby, jednak czasem potrzebują naszej pomocy.

Koty zwiększają swoje ciepło wewnętrzne zmieniając okrywą włosową. Ich futro staje się gęstsze i grubsze, będąc dla kociaka naturalnym okryciem wierzchnim. Zmiana owłosienia następuje bez względu na to czy zwierzę wychodzi czy jest kotem domowym. W przypadku kotów domowych nadmierne futerko staje się problemem. Taki "kot domator" linieje, co może być dla niego bardzo niebezpieczne podczas codziennej toalety. Liżąc się kot połyka nadmierną ilość kłaczek, co może spowodować powstanie kul włosowych w jego przewodzie pokarmowym. My, właściciele, możemy temu zapobiec czesząc kota regularnie zgrzebłem, czyli szczotką z krótkimi igielkami zakończonymi kuleczka-

mi. Innym rozwiązaniem problemu jest zapewnienie zwierzęciu pasty odkłaczającej lub specjalnej karmy. Właściciele psów też mają obowiązki wobec swoich pupili. Niektórym psom, podobnie jak kotom, przybrywa owłosienia, które jest dodatkowym ociepleniem. Jednak rasy krótkowłose potrzebują dodatkowej warstwy, która je ogrzeje. Dlatego warto zopatrzyć je w puchowe kurteczki, sweterki czy kubraczki. Ich dodatkowym walorem jest to, że pupile wyglądają w nich niezmiernie! Często chcemy wystroić tak naszego ulubieńca, ale bez potrzeby. Tutaj trzeba zachować umiar i zdrowy rozsądek. Gdy zwierzę nie potrzebuje dodatkowej ochrony przed mrozem, taki strój staje się dla niego dyskomfortowy a nawet niebezpieczny. A żadne zwierzę nie lubi, gdy jego ruchy są krępowane. Kot może nawet zachorować na tak zwaną depresję kubraczkową.

Następną rzeczą, która ulega zmianie w okresie zimowym jest pożywienie. Zimą zwierzęta jedzą więcej, aby dodatkowo warstwa tłuszczu służyła im za źródło ciepła.

W diecie kotów potrzebna jest dodatkowo trawa. W zimie jest ona mniej dostępna dlatego warto zasadzić specjalną trawkę w domu lub zainwestować w paprotki bezpieczne do obgryzania, należy na to zwrócić szczególną uwagę, gdyż niektóre gatunki roślin są trujące dla zwierząt.

Więcej czasu spędzonego w domu sprawia, że zwierzęta są mniej wystawione na ataki robaków. Jednak tabletki na robaki należy podawać przez cały rok. Małe organizmy, np. pchły, z łatwością wskakują do budynków i tam przeska-

poprzednim poziomie, a inflacja lekko wyhamowała. Czy to powód do uspokojenia, czy tylko cisza przed burzą? Na razie ceny paliwa na pobliskiej stacji są niższe niż tydzień temu o 10 groszy. Może pojedą zatankować? A może jednak skuszą się na sweterek z internetowego outletu?

Niezależnie od tego, w jakim kierunku to zmierza, może ten kryzys nauczyć nas większej rozważności i odpowiedzialności w wydawaniu pieniędzy. Może opamiętamy się i zwolnimy w tej gonitwie po sklepach. Uświadomimy sobie, że nie wszystko rzeczywiste musimy mieć, by czuć się spełnionymi.

Nie nauczyła nas tego pandemia ani wojna po sąsiedzku, może teraz to się uda?

 Iwona Pawłowska

kują na zwierzęta. A jeżeli zwierzę jest uczulone na ślinę pcheł tego typu tabletki są obowiązkowe.


Najczęściej pojawiającymi się problemami w progach weterynarzy w zimie są infekcje dróg oddechowych i zapalenie podeszw.

Infekcje dróg oddechowych to inaczej przeziębienie. Zwierzęta przechodzą je podobnie jak ludzie. Objawy to: gorączka, katar, kaszel i ból gardła. Zwierzęta łatwo łapią tego rodzaju infekcje, ponieważ chodzą nisko przy ziemi, więc zimno łatwiej przedostaje się do ich organizmów. Zwierzę może też być nosicielem wirusa nie mając żadnych objawów, by potem przy okazji lekkiego przewiania zachorować poważnie.

Zapalenie podeszw to częsta przypadłość zwierząt, która pojawia się wraz z solą na drogach. Zwierzęta wychodzące ranią sobie wtedy poduszeczki. Aby temu zapobiec można rozcierać zwierzętom łapki po spacerze i gdy zauważymy jakies zmiany, natychmiast udać się do weterynarza.

Z chęcią dbamy o naszych ulubieńców, ale nie tylko oni potrzebują naszego wsparcia. Naszej pomocy potrzebują również zwierzęta bezdomne. Warto wystawić kilka kartonów dla psów i kotów. Koty lubią obserwować świat z góry, dlatego kartony warto umieścić wysoko. Należy pamiętać, że zwierzęta też czują ból i chłód, a nie mają takich możliwości poradzenia sobie z tym. Musimy pamiętać, że jako istoty o większych umiejętnościach jesteśmy zobowiązani pomagać słabszym od nas zwierzętom.

Artykuł powstał przy współpracy z panią weterynarz Martą Brzyską, do której kieruję serdeczne podziękowania.

 Hanna Sosa, LO Złotoryja



## Byliśmy pierwsi, będziemy ostatni

Sklep motoryzacyjny „Radek” na złotoryjskim Rynku pamiętam, od kiedy przybyłem do Złotoryi w latach 90. Miałem go codziennie, idąc do swojej pracy w Urzędzie Skarbowym. Nabywałem tam części do swoich pierwszych aut: VW Jetty, Forda, Fiata Uno. Samochody przemijały, a sklep trwał zawsze w tym samym miejscu. Obok powstawały inne sklepy motoryzacyjne i znikwały po jakimś czasie. Od kiedy pamiętam w sklepie klientów obsługiwał wyjątkowo opanowany, uprzejmy i przystojny młody chłopak. To Radek Tkaczyk. Lata mijały, a mnie się zdawało, że Radek wcale się nie zmienia, dalej wygląda młodo. Miałem wrażenie, że w tym sklepie działa magia, taka jak w jakimś zaczerpniętym sklepie z amerykańskich filmów. Przemijający czas zdradzają tylko włosy i broda Radka, w których zauważyć można biały kolor. Pewnego dnia postanowiłem poznać tajemnicę, jaka skrywa się w tym miejscu i zebrawszy się na odwagę, wszedłem do sklepu.

„Nie pamiętam jak powstawał sklep, bo powstał w 1980 r. a ja miałem wtedy dziewięć lat.” – zaczął swoją opowieść **Radosław Tkaczyk** – „Tutaj był wtedy sklep warzywny. Wcześniej dawno, dawno temu, z tego co ojciec mi opowiadał, była tu pijalnia piwa. W tych czasach nie było sklepów prywatnych, takich jak teraz. Prywatna działalność to był szewc, krawcowa i właśnie warzywniak. Wszystko inne było państwowe. Akurat w 1980 r. dzierżawcy tego lokalu chcieli z niego zrezygnować i go zostawić. Mój tato **Wiesław Tkaczyk**, wpadł na pomysł, że można tutaj założyć sklep motoryzacyjny. Wtedy tato pracował na stacji benzynowej. Tej stacji, co już po niej tylko placyk został na Legnickiej.

Tak od początku, to historia mojej rodziny na ziemi złotoryjskiej zaczęła się w 1946 r., kiedy mój dziadek przyjechał tutaj ze swoją rodziną. W Wilkowie dostali przydział na gospodarstwo i kawałek ziemi. Wtedy jeszcze tam mieszkali Niemcy, ale czekali już na transport, na wywiezienie. Mój ojciec zamiast przejąć to gospodarstwo, wolał wyuczyć się na mechanika samochodowego w szkole w Legnicy. Jest samochodziarzem z krwi i kości. Pracował w ówczesnym powiatowym zarządzie dróg, gdzie był kierowcą, a potem kierownikiem. Pracował w miejscu, gdzie teraz jest hufiec harcerski, za hotelem. Wtedy to był zarząd dróg i tam tato miał swój warsztat. Potem pracował trochę jako kierowca, w szkole w Wilkowie, a następnie na stacji benzynowej, no i tu.

Kiedy zwolnił się ten lokal w centrum, to trochę musiał kręcić tej dzierżawy pochodzić, bo wszystko trzeba było załatwiać u partyjnego sekretarza. To przecież głęboka komuna była. Lokal należał do Urzędu Gminy, zmiany właścicielskie zaczęły się dopiero po 90. roku. No, ale udało mu się wtedy wszystko załatwić. Potem jeszcze mi opowiadał, że ten Naczelnik Wydziału Handlu z Urzędu Gminy przychodził do sklepu i niby w żartach mówił: „Ja do tej pory nie wiem, czemu ja panu dałem to pozwolenie, na tę działalność?”

Pozwolenie dostał w 1980 roku. Firma zaczęła działać we wrześniu, ale początki to remont, załatwianie lady, jeżdżenie, żeby towar jakiś był. Tak naprawdę ruszyło to w styczniu 1981 r. W tamtych czasach nie było żadnych hurtowni i każdy towar trzeba było samemu odszukać u producenta. W ogóle był problem, żeby cokolwiek kupić.

Jak teraz spojrzę, czym mój ojciec handlo-

wał, to myślę sobie: jak można było na tym cokolwiek zarobić? Po tato jeździł co tydzień do Poznania, Torunia, Bydgoszczy. Akurat do Bydgoszczy jeździł kupować zaworki do dętek. W samym Poznaniu miał dwadzieścia pięć, trzydzieści adresów, które musiał odwiedzić. U tego kupił końcówkę drążka, u tamtego jakieś konektorki. Największe takie zagłębienie rzemieślników to był Poznań. Tam produkowano najwięcej różnych linek, plastików, i gumowych elementów. Ostrów Wielkopolski to znowu zagłębienie tłumikowe. Tak jest zresztą do tej pory.

Często było tak, że moja mama musiała tu sprzedawać. Była nauczycielką i zdarzało się, że miała jakiś dzień wolny i wtedy szła do sklepu. Ojciec o 4. rano wyjeżdżał i o 12. w nocy wracał, a na drugi dzień do pracy. W lecie to jeszcze można było wytrzymać, ale w zimie już nie było fajnie.

Oczywiście, że miał swój samochód – Wartburga, a wtedy to były czasy, że benzyna była na kartki, ale ropa nie. Na początku jeździł tym Wartburgiem, tyle że kartek na paliwo mu nie starczało. Na to znalazł rozwiązanie: kupił Wołgę. Takiego radzieckiego benzyniaka. Wyjął silnik i wstawił diesla od Mercedesa. Kupę czasu jeździł tą Wołgą. Wołga to pojemny i mocny samochód, można było tam załadować dużo towaru. Jak ruszał po tłumiki, to nawet przyczepkę brał.

Polskie auta, jakie spotykaliśmy w tamtych czasach, to głównie Syrenka, Żuk, duży Fiat i maluch. Ludzie szukali części, bo sami umieli te samochody naprawiać, a mechanicy nie mieli czasu jeździć na zakupy po jakieś drobne, pojedyncze rzeczy. Schodziło też dużo części do motorków (WSK-i, Komarki). Te części trzeba było mieć. Wtedy kiedy ja zaczynałem pracę, w 1992 r., to myśmy co miesiąc brali 50 linek do gazu do Komarka i co miesiąc wszystko schodziło. W tej chwili sprzedam 4 linki w ciągu roku. Teraz się tym już nie jeździ. Jeżeli ktoś ma taki motor, to się cieszy, że go ma, ale go nie używa.

Jeszcze na dobre sklep nie zaczął działać, jak zaczął się stan wojenny. To był 1981 r. Nie wolno było się przemieszczać. Trzeba było mieć specjalne pozwolenia. Do dzisiaj mamy takie dokumenty, że w tym i w tym dniu mój ojciec może jechać do Dzierżoniowa czy Poznania.

Pamiętam, że jeszcze w 1981 r. ojciec pojechał na zarobek do Niemiec i tam go zastał stan wojenny. Wrócił do Polski 15 grudnia. Zima była fest, kraj pod butem, a mimo wszystko, to były najlepsze święta, jakie przeżyłem, tak jak ja je wspominam. W kraju bieda, a ojciec przywiózł z Niemiec całe zgrzewki puszek Mirindy, Coca-Coli i pomarańcze. Dla takiego dzieciaka jak ja, to była niesamowita radość. Ale ojciec jeszcze nie raz musiał wyjeżdżać i zarabiać w Niemczech.

W 1989 r., jak zaczęły się reformy Balcerowicza i hiperinflacja, to było tak, że jechał po towar, przywiózł, sprzedał i zarobku nie starczało, żeby ten sam towar znowu kupić. Raz dołożył, drugi raz, a potem nie było już z czego dokładać. Zamknął sklep na dwa, trzy miesiące i pojechał zarabiać. Przywiózł pieniądze, znowu dokładał, do czasu aż wszystko się uspokoiło. W ten sposób ten sklep wtedy przetrwał. Nastąpiła jakaś tam stabilizacja. Ja jako dzieciak dużo czasu spędziłem przy ojcu w garażu.

Zawód sobie wymyśliłem elektryka, ale jednak nie było mi dane w nim pracować. Mimo że z wykształcenia jestem elektrykiem, to w wojsku pracowałem jako mechanik, taka to była logika wojskowa. Po wojsku, zacząłem pracować w sklepie i uczyć się przy ojcu. W 1992 r. zawiązaliśmy spółkę, a w styczniu 1995 r., kiedy tato przeszedł na emeryturę, przejąłem całą działalność.

Był taki moment, że bardzo zaangażowałem się w sport. Pracowałem nawet w „Ocelocie”, kiedy się tworzył. Aż przyszedł taki czas, że koledzy zaczęli wyjeżdżać za granicę, do jakichś tam „cyrków”. To była połowa lat 90. Przez moment myślałem też o wyjeździe, ale właśnie się ożeniłem i stwierdziłem, że to tak się nie da. Trzeba być tu, na miejscu. Tutaj się więc zakotwicyłem i jestem bardzo wdzięczny mojemu ojcu, że stworzył mi taką możliwość. Ktoś mógłby powiedzieć: Kurcze! Cały dzień siedzisz w jednym miejscu. Można i tak na to spojrzeć,

ale mnie to nie przeszkadza. Dobrze się tu czuję, lubię jak przychodzą klienci z różnymi problemami a ja mogę z nimi pogadać i coś doradzić. Bardzo lubię swoją pracę.

Wielka zmiana nastąpiła, kiedy weszliśmy do Unii Europejskiej. Zniesiono granice, uwolniono handel i na drogach pojawiło się mnóstwo „składek” różnych marek. Taki Golf „trójka”, który dla Niemca nie miał żadnej wartości, w Polsce był wtedy najlepszym samochodem, jaki można sobie było wymarzyć. Sprowadzano ogromną ilość użytych aut. Zrobił się rynek na części samochodowe i w tym czasie w Złotoryi zaczęły powstawać sklepy motoryzacyjne. W pewnym momencie było ich u nas trzy – cztery. To był najlepszy czas, ale handel zmienił się całkowicie. Pojawiły się duże wyspecjalizowane hurtownie, które zaopatrywały wszystkich, łącznie z mechanikami. Miały odpowiednie narzędzia w postaci katalogów części do zachodnich samochodów. Kiedyś były papierowe, teraz to są programy komputerowe - całe bazy danych. Już nikt nie musiał jeździć po Polsce za towarem. W tej chwili ja sobie klikam i dwa razy dziennie przyjeżdżają do mnie z Wrocławia, a dwa razy z Lubina.

Poprzez to, że hurtownie zaczęły jeździć bezpośrednio do mechaników, w pewnym momencie zrobiło się trochę gorzej na rynku. Ponadto wraz ze wzrostem liczby aut, wzrosła też mobilność ludzi. Takie małe ośrodki jak nasz, nie dają rady stworzyć tak pełnej oferty, żeby klienta zadowolić. Jaki musiałby być sklep rowerowy w Złotoryi, żeby Darek Spychała chciał w takim sklepie kupić rower, czy rękawiczki, czy cokolwiek. Klienci stali się bardzo wymagający. Teraz zostawia się samochód u mechanika i on sam sprowadza części z hurtowni. Ale co ja będę narzekał, że świat się zmienił? Zmienił się i nic na to nie poradzę. Wiele różnych elementów złożyło się na to, że ktoś dał radę, a ktoś nie dał rady na takim rynku. Jeżeli chodzi o naszą konkurencję, to wszyscy się jakoś wykuszili.

Nam pomogło to, że byliśmy właścicielami lokalu i sami pracowaliśmy. Bez kredytów. Jak ktoś wziął kredyt, postawił za ladą pracownika i sam siedział sobie w domu, to nie zarobił. Dodatkowe koszty pracownika? To się nie sklepi. To jest za słaby biznes. Wygląda na to, że byliśmy pierwsi i chyba będziemy ostatni.

Mój ojciec mówił mi, że nie każdy nadaje się do handlu. Czasem można spotkać kogoś, kto sie-



dzi z zawziętą miną, obrażony na cały świat i to nie jest fajne. Ludzie niechętnie wracają w takie miejsce. Trzeba mieć coś takiego w sobie, żeby klienci chcieli przychodzić i kupować.

Mam swoich klientów, mimo że wraz ze zmianami na rynku też ich ubywa. Tak, mogę powiedzieć, że stałych. Śmieję się, gdy znajomi podpowiadają mi, że bym wprowadził kartę stałego klienta. Musiałbym ją wtedy rozdać wszystkim, którzy do mnie przychodzą. Mój sklep nie jest takim miejscem, jak przy autostradzie, gdzie wpadają jacyś obcy ludzie z innych miast. Ja wszystkich swoich klientów znam. To są ludzie zaradni, ci którzy chcą i umieją sami sobie coś zrobić. Czasami nawet muszą, ze względów ekonomicznych, cieszą się że sami coś potrafią.

Prowadząc taki sklep jak mój, na pewno trzeba się orientować w zmieniającym się rynku nowych modeli aut. Ciągłe wchodzi coś nowego, inne rozwiązania technologiczne i trzeba się tym interesować, trzeba trochę poczytać. Nie ma takich kursów: jak prowadzić sklep motoryzacyjny. Natomiast duże hurtownie organizują szkolenia branżowe przeznaczone głównie dla mechaników. Ale mnie się to też przydaje. Jestem już w tym od zawsze, tak że nie mam z nauką problemu. Jasne, że dobrze jest wiedzieć, co klient mówi, co chce. Zdarzają się takie historie, że ludzie nie potrafią wytłumaczyć problemu i trzeba się jakoś dogadać. Mnie szczególnie zależy, żeby klient był zadowolony.”

- Rozmowę przerywa nam pojawienie się



klienta, mimo że jest już ponad godzina po zamknięciu sklepu. „Potrzebuję czerwonej lampki do stopu. Ale naprawdę czerwonej.” – prosi nowo przybyły. Kilka kliknięć Radosława Tkaczyka i słowa: „No mam, i ona jest typowo czerwona. Tyle, że kosztuje 12 zł. Bo ona jest z Philipsa. Taki „chińczyk” to będzie kosztować tylko 3 złote.” Odpowiedź: „Nie o to chodzi. Ma być czerwona.” „No jest czerwona.” – odpowiada Radek. „Najlepsze czerwone żarówki, to tylko z Chin.” – silę się na taki polityczny żart, bo jest już późno. „Tak, tak.” – odpowiada gość – „Ale potem odtaży farba.” „A to Ford jest?” – interesuje się odruchowo Radek. „Nie Saab.” – słyszy odpo-

byłem pewien, że się nie mylę. Tyle, że potem pomyślałem: i po co to mi było? Nie! Absolutnie, klient zawsze ma rację, potem zostaje to złe wrażenie, a klient, który się obrazi, nigdy nie wróci. Klientów trzeba szanować, przecież mam ich coraz mniej. Z reguły to są ludzie starszej daty, a Covid nie pozostał bez wpływu na ich zdrowie. Naprawdę miałem takich, którzy od lat chodzili, chodzili, a potem nagle ich nie ma. To jest bardzo przykre. To jest małe miasto i wszyscy się znamy, chociażby z widzenia. W „zachodnim” świecie takich sklepów już nie ma. Z tych, czy innych przyczyn moich klientów będzie coraz mniej. Nie ma co się oszukiwać. Ale na razie cieszę się



wiedź. „Bo rzadko, który samochód ma takie żarówki.” – komentuje właściciel sklepu. Klient zachęcony do rozmowy, zwierza się: „Ale powiem panu, że kiedy byłem w drodze, taka jedna przepaliła się i gdzieś kupiłem, chyba we Wrocławiu, taką do Forda. Odcień różu, absolutnie! To ma być czerwona.”

Po wyjściu klienta wracamy do rozmowy.

„Nie mam problemów z klientami. Mnie to najbardziej cieszy, że ja lubię tę pracę, lubię ludzi, a klienci myślę, że też mnie dobrze odbierają, bo dostają takie sygnały, że jestem polecany. Nie ma dla mnie problemu, gdy ktoś prosi, żeby mu wycieraczki wymienić czy akumulator. Jak mam czas, to czemu nie? Nawet kiedy zdarzy się jakaś reklamacja, to staram się tak ją załatwić, żeby kupujący był zadowolony i chciał znowu wrócić. Pamiętam, chyba dwa razy mi się zdarzyło, że klient się upierał przy swojej teorii, a ja

z tego, co mam. Ta praca satysfakcjonuje mnie finansowo i mentalnie. Jedyna słaba strona to taka, że pracuję 9 godzin dziennie w tych najlepszych godzinach dnia. Dziewięć godzin dziennie plus pięć godzin w sobotę, to daje mi 50 godzin pracy tygodniowo i to takiej nie tyle ciężkiej, co raczej uwiązanej. Gdy przychodzi niedziela i jest ładna pogoda, to ja już nic innego nie chcę, tylko ruszyć gdzieś w świat, bo przecież w tygodniu nie mogę tego zrobić. Uwielbiam sporty: kitesurfing czy paralotnie. Ostatnio mocno jeżdżę na rowerze. Jak jest lato, to jeżdżę na okrągło do pracy, z pracy i czasem wyjdzie mi 50 km dziennie.

Wiem, że tego biznesu nie przekażę już swoim dzieciom. Nie dlatego, że one nie chcą, ale to nie ma przyszłości. Swoich dzieci absolutnie bym w to nie wpakował. Póki co spełniam się tu i nie narzekam absolutnie.”

Jarosław Jańta



**Ach,  
te choinki...**

Dzisiaj, kiedy świąteczne ozdoby królują w sklepach od połowy listopada, z łezką wzruszenia w oku myślę o świątach i choinkach, których już nie ma. Wiem - to ten wiek, który zwraca oczy ku przeszłości, bo tam jest więcej zdarzeń, niż oferuje krótsza i niepewna przyszłość. Starsi to rozumieją, młodzi niebawem pojmą ☺ I może też z podobnym rozrewnieniem będą wspominać swoją młodość, jak i ja to robię, szczególnie, gdy doskwiera mi mialkość codzienności ☺.

Ale miało być o choince, a nie codzienności. Choinka, za którą tęsknię, to ta, która stała w pokoiku na pięterku w babcinym domu na wsi. W tym pokoju spędziłam z rodzicami pierwsze swoje lata i z tego czasu zachowały mi się powidoki bożonarodzeniowego drzewka, które pielęgnowałam jak relikwii tego rajskiego życia.

Zanim świerk stanął w kącie pokoju, dziadek musiał go przywieźć z lasu. Pamiętam, jak babcia strofowała go, by nie zgubił asygnaty. Słowo „asygnata” brzmiało dla mnie jak takie magiczne zaklęcie. Nie rozumiałam wtedy, że to zwykły urzędowy świstek stanowiący o legalności choinki w domu ☑. Bywało,

że leśnicy chodzili na kontrolę i sprawdzali, czy ustrojone świerki nie zostały skradzione z lasu.

Kiedy już „legalne” drzewko zostało oprawione z stojak, zaczynała się praca nad strojeniem gałązek. Ozdoby robiliśmy częściowo sami. Były to łańcuchy sklepane z bibuły, malowane na złoto orzechy włoskie, w które wbijałyśmy szpilki a do nich przywiązywaliśmy sznureczek-zawieszkę, były też długie, specjalnie na choinkę kupowane cukierki – paskudne w smaku, twarde (o ile pamiętam), ale ciekawie prezentujące się na drzewku. Były też bombki, ale nie takie jak teraz bez charakteru z chińskich dostaw. To były małe arcydzieła: szyszki, półksiężycy, muchomorki, baletnice, bałwanki, pszczołki, sople, baby w ludowych strojach, ozdoby w kształcie bohaterów dobranocek: „Gąska Balbinka”, „Jacek i Agatka”, „Krecik”, „Bolek i Lolek” ... Stłuczenie jakiegokolwiek z nich było po-

wodem do dziecięcego płaczu. Ale z takiej zdekompletowanej bombki zawsze można było zrobić brokat wulkam do ciasta i oprószyć nim bibułkowe ozdoby. Na tych pierwszych choinkach, które zapisałam w swojej pamięci nie było jeszcze elektrycznych lampek, tylko świeczki. Na gałązkę wpinaliśmy metalowe żabki, a na nich mocowaliśmy drobne świeczki. Wieczorami rodzice zapalali je, ale przed snem lub przed wyjściem z domu wszystkie trzeba było zgasić, bo otwarty ogień i świerkowe igły to, jak wiadomo, dość niebezpieczny związek. Zatem, trzeba było dużej ostrożności by słowo: „świecić” nie zamieniło się w: „palić”. To z tamtego czasu pochodzi dowcip:

-Mamo, choinka się pali.

-Nie mówi się pali, tylko świeci.

-Mamo, firanki też się świecą.

Niektórzy opowiadają go w wersji z telewizorem ☺

Choinka mojego dzieciństwa pachniała nieziemsko. Zapach lasu, igieł, żywicy mieszał się z aromatem pomarańczy i mandarynek, które wtedy były prawdziwym rarytasem, rzucanym do sklepów specjalnie na tę świąteczną okazję. Nikogo wtedy nie dziwiły mandarynki w roli ozdób choinkowych ☺.

Dzisiaj ubieranie choinki nie ma już dla mnie tej magii, ale zawsze jest okazją, by choć na moment przenieść się w ten alternatywny świat wspomnień. Od lat kultywuję nową świecką tradycję, która wiąże się z nerwowym i często bezskutecznym poszukiwaniem stojaka lub bombek, bo nie pamiętam, gdzie je ubiegłego roku wyniosłam, z pośpieszonymi wizytami w markecie w celu nabycia tego, czego w konsekwencji nie znalazłam; polega na próbie rozplatania lampek (które ostatecznie okazują się zepsute) lub pionizowania drzewka, bo w sklepie wyglądało na proste, ale w domu ma tendencję do wyginania się na boki, pewnie za sprawą kotów polujących na wiszące ozdoby ☺. Z roku na rok wieszam coraz mniej bombek, bo wiem, że to ja będę potem rozbierać choinkę, więc po co sobie utrudniać życie, za te kilka dni, gdy przyjdzie wynosić drzewko (ile wtedy miejsca przybędzie!).

I mimo, że jest, jak jest, że nie ma asygnat, świeczek, bibułkowych łańcuchów, bombek Jacka i Agatki, a mandarynki i pomarańcze pachną cały rok, to choinka musi być, bo bez choinki po prostu nie ma świąt!

Iwona Pawłowska

**Wszystkim Czytelnikom oraz Sympatykom  
życzenia niech spełnią się marzenia i nadzieje,  
które niesie Boże Narodzenie i Nadchodzący  
Nowy Rok 2023**

**Życzy Zarząd TMZZ**

*Wesołych Świąt*  
ORAZ SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!



W listopadowym numerze „Echa” przeczyłem rozmowy z osobami decydującymi o kształcie oświaty na terenie powiatu. W obecnym wracam do tematu. Tym razem poprosiłem o wypowiedź osoby zawiadujące placówkami znajdującymi się na terenie miasta. Są to dwie szkoły podstawowe i przedszkole numer 2. Na temat wypowiedział się Zastępca Burmistrza Pan Paweł Kulig, a także Pani Dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 3 Danuta Boroch, Pani Jolanta Smolińska – Dyrektorka Przedszkola nr 2, oraz Pani Izabela Stemplowska – Dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 1.

**Paweł Kulig:** W jurysdykcji Urzędu Miejskiego są dwie szkoły podstawowe oraz dwa przedszkola. Przy czym przedszkole nr 2 z ulicy Górniczej prowadzi dodatkowo oddziały przedszkolne w placówce przy ulicy Letniej. Razem daje to 14 oddziałów przedszkolnych od 3. do 6. roku życia.

Dziś problemu braku nauczycieli nie mamy. W niektórych przypadkach jesteśmy jednak zmuszeni łączyć niedobory doświadczonymi nauczycielami. W jednej ze szkół podstawowych fizyki uczy emerytowany nauczyciel i nie widać młodych adeptów, mogących go zastąpić. Zawód nauczyciela niestety cieszy się coraz mniejszym zainteresowaniem. Składa się na to kilka przyczyn, ale dominujące wydają się zbyt niskie wynagrodzenia. Tabela płac jest powszechnie dostępna, reguluje ją Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej. Samorząd może wzbogacać je o dodatki: motywacyjny, funkcyjny i za wychowawstwo. Są to jedyne elementy na które mamy wpływ. Średnia wieku wynosi obecnie 45+, chociaż zdarzają się pojedyncze przypadki, gdy do zawodu przy-

chodzi młodzi ludzie wprost z korporacji, na przekór ogólnemu trendowi. W bieżącym roku szkolnym mamy zatrudnionych 153 nauczycieli, z tego 88 posiada stopień awansu nauczyciela dyplomowanego, 37 stopień awansu nauczyciela mianowanego, a 28 to nauczyciele nieposiadający stopnia awansu zawodowego (zgodnie z obowiązującą od 1 września br. nowelizacją ustawy Karta Nauczyciela). Do grupy nauczycieli nieposiadających stopnia awansu zaliczamy nauczycieli kontraktowych i stażystów. Ogółem na 153 nauczycieli zaledwie ośmiu to stażysty. Wiek emerytalny, lub możliwość skorzystania ze świadczenia kompensacyjnego w 2024 roku osiągnie 15 nauczycieli. Jednym słowem stoimy przed perspektywą wakatów. Kuratorium dostrzega problemy kadrowe i wydaje zgodę na zatrudnianie nauczycieli o niepełnych kwalifikacjach.

Innym problemem są urlopy dla poratowania zdrowia. Nie kwestionuję ich zasadności, ale dlaczego wszystkie koszty z tym związane przerzucane są na samorząd? W tym roku szkolnym z takiej możliwości korzysta dziewięciu nauczycieli, co daje kwotę ponad pół miliona złotych.

W szkołach miejskich Pani Dyrektorka na szczęście uzupełniła wszystkie niedobory kadrowe. W jednym przypadku dzieje się to poprzez korzystanie z nauczycieli dojeżdżających, w innym przesunięciem w obrębie placówki lub poprzez uzupełnianie kwalifikacji przez już pracujących pedagogów. Pewnym problemem jest wprowadzona od 1 września br. standaryzacja, która zakłada zatrudnienie w każdej placówce nauczycieli specjalistów, m.in. logopedy, psychologa i pedagoga specjalnego. Na

szczęście osoby te nie muszą być zatrudnione na pełny etat i to stwarza możliwości zaspokojenia tych potrzeb poprzez zatrudnienie mniejszej liczby osób. Nie zmienia to faktu, że na tych stanowiskach mamy wakiaty. Z falą przechodzenia na emeryturę możemy zdziwić się już w przyszłym roku. Nie wiemy wprawdzie, ilu z uprawnionych zdecyduje się skorzystać z tej możliwości, ale w ciągu najbliższych trzech lat problem się będzie wzmagać. Staramy się na to przygotować. Dzięki przychylności radnych, z zasobów komunalnych wygospodarujemy dwa mieszkania służbowe przeznaczone dla nowo zatrudnionych nauczycieli. Poza tym muszę się pochwalić, że od siedmiu lat realizujemy nieprzerwanie projekty z funduszy zewnętrznych, związane z zajęciami dodatkowymi w szkołach. W naszych placówkach uczniowie mają do wyboru wiele różnorodnych zajęć dodatkowych. Dotyczy to zarówno przedmiotów ścisłych, jak i humanistycznych. W bieżącym roku szkolnym kontynuujemy realizację projektu pn. „Szkoła jest fajna!”. Dyrektorzy szkół mówią nam o potrzebach w zarządzanych przez nich placówkach, to znaczy co możemy zrobić wspomagając ich, aby te wyniki nauczania uczniów były jeszcze lepsze. Mamy ambicję, żeby z wynikami egzaminów ósmoklasisty dogonić poziom szkół wrocławskich. Dziś do tego poziomu naprawdę niewiele nam brakuje. Proszę mi wierzyć, że to bardzo wysoko zawieszona poprzeczka. Wiele osób, w tym nauczyciele, w to nie wierzyło tłumacząc, że w dużych miastach jest wiele miejsc takich jak muzea, ogrody zoologiczne czy botaniczne itd., gdzie uczniowie mogą poszerzać swoją wiedzę. To wykluczenie staramy się niwelować organizując w ramach projektów zajęcia z robotyki i programowania, prowadząc koła informatyczne, kupując programy i wyposażenie, rozbudowując bazę dydaktyczną. W projekcie „Szkoła jest fajna!” poza zajęciami dodatkowymi uczniowie biorą udział w różnego rodzaju wyjazdach do miejsc wskazanych przez dyrektorów szkół, aby niwelować te dysproporcje.

Na wszystko można patrzeć z dwóch stron. Owszem, mamy problem z dopływem młodych nauczycieli, ale z drugiej strony dysponujemy bardzo doświadczoną kadrą, a to z kolei procentuje bardzo dobrymi wynikami egzaminów ósmoklasisty. Dziś możemy pochwalić się wynikami na poziomie wyższym niż średnia wojewódzka. Ten progres jest widoczny od kilku lat. Znajdujemy się w

czołówce gmin województwa dolnośląskiego, jeśli chodzi o wyniki egzaminów ósmoklasisty. Na pewno można powiedzieć, że oświata to nasze oczko w głowie. Nie boimy się inwestować w oświatę, bo wiemy, że jest to inwestycja w przyszłość. Uczniom naszych szkół dajemy trampolinę, aby osiągnęli w życiu sukces, aby bez kompleksów mogli wybierać najlepsze szkoły w swojej dalszej edukacji. Oczywiście wolelibyśmy, aby absolwenci podstawówek uczyli się w złotoryjskich szkołach. Aby tak się stało, konieczne jest ścisłe współdziałanie w tej dziedzinie pomiędzy miastem i powiatem.

**Danuta Boroch:** Zawód nauczyciela najwięcej stracił na prestiżu w czasie strajku nauczycieli w roku 2019. Sposób, w jaki władze państwowe podeszły do problemu spowodował, że zawód został tak mocno zdeprecjonowany. To był moment, w którym objawił się ogromny kryzys. Bezgraniczny hejt jaki wylał się zewsząd i fakt, że władza zupełnie nie chciała z nami rozmawiać o nurtujących nas problemach. A te problemy to przede wszystkim sprawa niskich zarobków i niedofinansowania oświaty.

Jeśli chodzi o moją szkołę, nie mogę powiedzieć, że ze strony Urzędu Miasta nie mamy wsparcia, bo nasz Urząd dba o szkoły. Realizujemy bardzo dużo projektów, które poprawiły tak wygląd jak i funkcjonowanie szkoły. Niemniej 3 400 złotych brutto, czyli stawka jaką mogą zaoferować początkującemu nauczycielowi w zestawieniu z kwotą 2 240 złotych dla pani sprzątającej nie jest zachęcająca do podjęcia pracy w zawodzie nauczyciela. Negatywna opinia, jaka obecnie towarzyszy nauczycielom, wpływa również na podejście rodziców do nas. Rodzic teraz stanął w pozycji tego, który żąda, tego który wymaga. Rodzic oczekuje, że my będziemy tymi, którzy wychowują i za niego będziemy zajmować się dziećmi. Zdarza się, że rodzice dochodzą swoich racji przy pomocy adwokatów. To stwarza na tyle niekomfortowe warunki pracy, że do zawodu nie chcą przychodzić młodzi ludzie. Sprawy zmierzają w złym kierunku, jesteśmy przez rodziców bardzo źle postrzegani. Jak już wspomniałam, prestiż zawodu ucierpiał najbardziej w czasie strajku nauczycieli, kiedy to walczyli o prawo do godnych wynagrodzeń. Termin strajku zbiegł się z egzaminami ósmoklasistów i w sytuacji, gdy środowisko zagrożiło, że nie przeprowadzi tych egzaminów władza zareagowała komunikatem o powołaniu komisji egzaminacyj-

nych w skład których mogli wejść leśnicy, księża, zakonnicy. Było to czytelnym dowodem kompletnego braku szacunku do nauczycieli. Bo skoro można nas zastąpić leśnikiem, czy księdzem, to znaczy że nie jesteśmy potrzebni, bo każdy może wykonywać tę pracę. Nasza szkoła zapewnia wysoki poziom kształcenia, można to sprawdzić na podstawie wyników egzaminów publikowanych na stronie internetowej. Mimo to rodzi-

i skarży się, że nie daje sobie rady z jednym dzieckiem – ze swoim.

W tej chwili czynnych nauczycieli mamy 60. Niestety średnia wieku to jest 40+ z dobrym okładem. Mamy dziewięciu nauczycieli, których mogę nazwać młodymi, ośmiu w przedszkolu i jedną panią w edukacji wczesnoszkolnej. Na dziś mamy zatrudnionych dwoje stażystów. Jedna z tych osób nie ma jeszcze ukończonych studiów i pracuje za zgodą kuratorium.



ce nie okazują nam szacunku za to, że potrafimy zapewnić ów wysoki poziom, że dzieci otrzymują wiedzę i umiejętności. Przeciwnie, można przyjść do szkoły nawrzeszczyć na nauczyciela. Wynika to zapewne z tego, że w przypadku skarg kierowanych wprost do kuratorów, które są de facto placówkami zamiejscowymi ministerstwa, kuratoria zawsze opowiadają się po stronie skarżących rodziców. Nauczyciel staje przed trzydziestoosobową grupą dzieci, w której każdy ma swoją historię, musimy jej wysłuchać a potem efektywnie wykorzystać czas jaki pozostał do końca lekcji. Tymczasem rodzic przychodzi do szkoły

Niemniej większość kadry to osoby w wieku przedemerytalnym. W przyszłym roku uprawnienia zdobędzie pięciu nauczycieli. To są dwie polonistki, czyli jedne z najważniejszych nauczycieli w szkole podstawowej, poza nimi dwie panie z biblioteki i jedna osoba z edukacji wczesnoszkolnej. Kolejna fala potencjalnych odejść będzie dotyczyła rocznika 1966. Wśród tych osób mamy geografę, panią od fizyki i chemii, nauczyciela historii, plastykę, muzykę. Z tego wyciszenia wynika, że w ciągu najbliższych 3 lat mogą stracić 11 nauczycieli. Oczywiście korzystam z możliwości zatrudnienia emerytów, obecnie są to dwie osoby. Obec-

nie nie mogę powiedzieć, że odczuwam braki kadrowe, ale jeśli w tym momencie zachoruje geograf, który jest jedynym nauczycielem tego przedmiotu, to już nie mam go kim zastąpić. Jeśli kolejne władze nie dostrzegą tego kryzysu, a trzeba powiedzieć iż zaklinają rzeczywistość, to nastąpi zapaść.

Stanowisko Dyrektora objęłam 6 lat temu. W pierwszych latach owszem, byli nauczyciele szukający zatrudnienia, ale było to związane z wygaszaniem gimnazjów. Nauczyciele tam zatrudnieni po prostu szukali pracy. Poza tamtym okresem podania niemalże nie wpływają, a już na pewno nie od młodych osób. Sytuacja wygląda lepiej wyłącznie, jeśli chodzi o nauczycieli przedszkolnych. Tu na ogłoszenie o potrzebie zatrudnienia zgłosiło się w ubiegłym roku kilka osób. Gorzej jest z nauczycielami przedmiotów, zwłaszcza ścisłych. Nie zdarzają się sytuacje, aby pojawiło się podanie matematyka, czy fizyka. Wyjątkiem potwierdzającym regułę było zatrudnienie fizyczki, która odeszła z pracy w korporacji i zmieniając dużo w swoim życiu prywatnym zmieniła również pracę. Ale dane statystyczne, które jak wiadomo nie kłamią, pokazują bardzo wyraźny wzrost zgód kuratorium na zatrudnienie osób nie posiadających kwalifikacji pedagogicznych, lub przedmiotowych.

**Jolanta Smolińska:** W przedszkolu nr 2 sytuacja nie jest bardzo zła, ponieważ kadra którą dysponuję utrzymuje się od lat. W ostatnim czasie przyszły dwie nauczycielki, zastępując inne, odchodzące na emeryturę. Osoby, które przyszły nie są tuż po studiach, są to osoby które pracowały wcześniej w prywatnych przedszkolach i z jakiegoś powodu wolą pracować w przedszkolu samorządowym. Być może z powodu lepszych warunków. Jak widać nie jest to ich pierwsza praca, podjęta po ukończeniu szkoły. Dla mnie fakt, iż posiadają doświadczenie jest bardzo cenny. W ciągu kilku ostatnich lat nie wpłynęło podanie osoby bardzo młodej, która stawia pierwsze kroki w zawodzie. Kiedy ja zaczynałam pracę, byłyśmy wraz z koleżankami w zbliżonym wieku. Po jakimś czasie kilka starszych osób, które nabyły prawo do emerytury, odeszło, a my zostałyśmy tworząc grono złożone w zasadzie z osób wywodzących się z jednego pokolenia. Są to osoby które pracują, bo robią to co lubią i dlatego nigdy z tej pracy nie odeszły. Poza tym żyłyśmy się z sobą i tworzyłyśmy bardzo zgrany zespół. Największy kryzys spotkał nas w

czasie, gdy zamykano przedszkola, a w szkołach było mniej „zerówek”. Stworzono wówczas zajęcia pięciogodzinne, tylko po to by nas nie zamykać. Mimo wszystko kilka oddziałów zamknięto i część osób została bez pracy. Radziliśmy sobie wówczas przesunięciami z jednej placówki do innej. Niemniej nie pamiętam sytuacji, żeby ktoś zrezygnował z pracy w zawodzie nauczycielki, bo tak po prostu chciał. Nawet w przypadku, gdy niektóre osoby odchodziły na emeryturę, to zawsze pojawiał się ktoś chętny. Po czasie okazywało się, czy nadaje się do tej pracy.

Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, dlaczego młode osoby nie przychodzą do zawodu. Mogę tylko porównać swo-



je motywacje z tym co widzę obecnie. Kiedy byłam bardzo młoda, zarówno ja jak i większość moich koleżanek marzyłyśmy o tym żeby kiedyś zostać nauczycielką. Zapewne dlatego, że nasza pani była dla nas autorytetem. Był to wzór niemal równy naszym mamom. Obecnie chyba już tak nie jest, a nawet na pewno patrząc na to jak jesteśmy postrzegani. Kiedy dochodzi do wybierania zawodu nauczyciel nie jest brany zbyt często pod uwagę. Na pewno z perspektywy finansowej mają tu znaczenie. Słyszałam o przypadkach, gdy ktoś zwalnia się z urzędu i podejmuje pracę w sklepie. Czasami mamy takie, że bywa to lepszym wyborem. Wynagrodzenie początkującego nauczyciela nie odbiega od wynagrodzenia woźnej oddziałowej. Biorąc pod uwagę odpowiedzialność jaka towarzyszy nauczycielom w przedszkolach, nie da się tego porównać. Z drugiej strony

kiedy zaczynałam pracę, pensje nauczycielskie również nie były za wysokie. Być może wiązało się to z tym, że mniejsze były wymagania. Wiele osób podejmowało pracę po szkole średniej, bądź Studium Nauczycielskim. Dziś wszystkie nasze nauczycielki mają wyższe wykształcenie, żąda się od nas dodatkowych szkoleń. Ale te wymagania nie idą w parze z wynagrodzeniem. Jest nam z tego powodu po prostu przykro, ale nie poruszamy tego tematu na co dzień. Sądzę, że nasza miłość do tego zawodu rekompensuje nam i tę niedogodność. Za przykład niech posłuży jedna z pań, która przyszła do pracy w nieco starszym wieku, po tym jak jej dzieci dorosły. Gdyby tego zawodu nie kochała, na pewno by się na ten krok nie zdecydowała.

Przy ulicy Letniej przedszkole nr 2 ma oddziały zerówki. To rozwiązanie pochodzi z czasów, gdy można było łączyć żłobki z przedszkolami. Sześć lat temu Ministerstwo zdecydowało, że jednak nie można. Dlatego rozdzielono te placówki, tworząc tam dwa oddziały przedszkolne podlegające pod przedszkole nr 2. Nie wiem jak ta sytuacja długo potrwa, bo istnieje duże zapotrzebowanie na miejsca w żłobku. W takiej sytuacji oddziały musiałyby być przeniesione na ul. Górniczą.

Ogółem przedszkole zatrudnia 13 nauczycieli na stałe. Poza nimi zatrudniamy nauczyciela języka angielskiego w niepełnym etacie, podobnie katechetkę oraz psychologa. Dziś psycholog specjalny jest nam bardzo przydatny, ponieważ są dzieci wymagające specjalnego podejścia. Psycholog może prowadzić lek-



cję w gabinecie, gdzie są lepsze warunki do skupienia. Jedną z naszych nauczycielek poszerzyła swoje kwalifikacje i prowadzi zajęcia z dziećmi wymagającymi pomocy logopedy. Jest to bardzo dobra wiadomość, bo dzieci mają problemy tego rodzaju i ta pomoc była niezwykle potrzebna.

Średnia wieku przekroczyła 45 lat i nic nie wskazuje na to, by sytuacja ta szybko uległa zmianie.

**Izabela Stemplowska** – Myślę, że najistotniejszym powodem braku nauczycieli są sprawy finansowe. Młody człowiek, który przychodzi do zawodu musi być osobą wykształconą. Propozycja dla nauczyciela początkującego nie zachęca, jeśli nie jest wychowawcą klasy, bądź

nie ma godzin ponadwymiarowych. Teoretycznie mówi się o 18 godzinach, ale poza nimi jest bardzo dużo obowiązków niekoniecznie związanych z kwestiami dydaktycznymi. Sprawy wychowawcze, problemy z jakimi się borykamy są, jak myślę także istotne dla potencjalnych adeptów. Młodzi, wykształceni ludzie znajdują pracę w innych miejscach i otrzymują takie wynagrodzenie, które ich po prostu satysfakcjonuje. Poza tym mają szansę na rozwój. Jeśli chcą się rozwijać, doskonalić, to na ogół jest to dogodnie uregulowane. W zawodzie nauczyciela wszelkie formy doskonalenia najczęściej odbywają się popołudniami, a nauczyciele sami pokrywają ich koszty. Chyba, że ma się szczęście i realizuje projekt, który przewiduje uzyskanie wyższych kwalifikacji poprzez studia, czy kursy. Ale to wszystko o czym

do tej pory powiedziałam o sprawach przyziemnych. Niezwykle ważne jest także to, że zawód nauczyciela przestał być zawodem, który się traktuje z szacunkiem. Zawód stracił prestiż. Odnoszę wrażenie będąc przede wszystkim nauczycielem, że ciągle musimy komuś coś udowodniać. Musimy się tłumaczyć, że większa część społeczeństwa nie traktuje nas jak profesjonalistów. Punktem kulminacyjnym był strajk nauczycieli. Do dziś odczuwamy jego skutki. Wtedy byliśmy bardzo zmobilizowani, to był moment na zmiany. Zakończenie strajku bez końcowego sukcesu spowodowało, że jesteśmy traktowani nie najlepiej. Nie czujemy szacunku, uważa się, że otrzymujemy pieniądze za darmo.

Oświata potrzebuje ogromnych zmian, ale te zmiany nie mogą się odbywać z dnia na dzień i muszą się zacząć od góry. Nikt bardziej niż my nie dostrzega mankamentów systemu. Borykamy się na co dzień z problemami, które nie powinny mieć miejsca. Wymaga się od nas żeby wyręczać rodziców, ale nie zawsze kończy się to sukcesem. W chwili gdy pojawiają się jakieś trudności, pierwsze porażki, lub coś niepokojącego w rozumieniu rodzica, wówczas winna jest wyłącznie szkoła.

Bardzo łatwo jest obecnie złożyć skargę do instytucji nadzorującej naszą pracę. Wówczas musimy udowodniać swoje racje w formie pisemnej. Nie ma już niemal takich sytuacji jak dawniej, gdy spotykaliśmy się z rodzicami i poprzez rozmowę wyjaśnialiśmy sytuację. I to jest kolejny problem – papierologia, która bardzo utrudnia nam pracę. Coraz częściej czujemy się niesłuchani. Urzędnicy wiedzą od nas lepiej, są mądrzejsi, a to my zostajemy na dole z dziećmi i rodzicami i musimy stawiać czoła trudom dnia codziennego. Mamy do czynienia z żywymi istotami, które przychodzą z różnych domów, które mają różne doświadczenia i potrzeby.

W Szkole Podstawowej nr 1 zatrudnionych jest 58 nauczycieli (w tym niepełnozatrudnionych). W najbliższym czasie

uczycieli. Najtrudniejszy będzie przyszły rok, w którym może odejść czterech nauczycieli. W ubiegłym roku wprowadzie kilka osób uzyskało prawo, ale one na szczęście wciąż z nami są i dzięki temu wszystkie zajęcia obowiązkowe są zabezpieczone. Mamy nieustający problem z nauczycielem fizyki, ponieważ od czterech lat naucza go emeryt. Pozostali nauczyciele są bardzo blisko wieku 50 lat. Kilku nauczycieli niebawem ukończy staż i osiągnie stopień nauczyciela mianowanego. Są to również osoby w wieku 35+, ale jest to zdecydowana mniejszość. Potocznie mówiąc - łatamy braki. Jeden z nauczycieli matematyki korzysta w tym roku z urlopu zdrowotnego i na jego miejsce nie byliśmy w stanie nikogo znaleźć. Pozostałe godziny przyjęła pani, która uczy informatyki, ale na szczęście ma kwalifikacje do nauki matematyki i możliwe było pogodzenie jej chęci i naszych potrzeb. Mniej zadowolająca jest sytuacja, gdy nauczyciel zatrudniony jest na część etatu, bo zawsze bardziej identyfikował się będzie ze szkołą w której pracuje w pełnym. Uczestniczymy w projekcie, który zapewnia nam zajęcia dodatkowe. Niestety nie wszystkie udaje nam się realizować. Kuleją właśnie przedmioty ścisłe, ponieważ dotyczy to nauczycieli, którzy pracują wiele godzin w tygodniu i mają prawo czuć się zmęczeni.

Nie mogę powiedzieć, że nie wpływają do nas podania. Najczęściej są to kandydaci na nauczycieli edukacji wczesnoszkolnej. Jednakże często są to osoby, które mają kwalifikacje, ale gorzej bywa z kompetencjami. W naszym środowisku dość szybko rozeznajemy, czy z daną osobą można wiązać przyszłość. Na bieżąco śledzę stronę dolnośląskiego Kuratorium. Jest tam możliwość zgłaszania wakatów. Każdego dnia ich przybywa. Pewnego dnia wpłynęło 60 zapytań.

Po przeprowadzeniu rozmów z nauczycielami zauważyłem coś, co dotyczy nas wszystkich. Przespaliśmy jako społeczeństwo moment, kiedy sytuacja wymknęła się spod kontroli. Obawiam się, że w następnym pokoleniu wrócimy do czasów tuż powojennych, gdy nauczycielem mógł zostać każdy, kto potrafił czytać i pisać. Czyż tak trudno dostrzec, że jeśli nie będziemy inwestować w edukację, to świat nam po prostu odjedzie? Miejmy nadzieję, że ktoś się w końcu obudzi. Ktoś, kto decyduje o losach naszej przyszłości.

**Andrzej Wojciechowski**

## Moda w Złotorzy

Jaką rolę odgrywała w powojennej Złotorzy (a może w Złotej Górze) moda? Jak trudno było zdobyć ubranie? Pozwalało sobie na ekstrawagancję czy może przeważała funkcja użytkowa odzieży? Jakie wizerunki przedstawiano w prasie, a w jaki sposób ubierały się mieszkanki naszego miasta?

Moment przechodzenia od wojny do pokoju jest specyficzny. Pomimo zakończenia regularnych działań zbrojnych ludziom towarzyszy uczucie chaosu, strachu i niepewności. Oficjalne zakończenie II wojny światowej i podpisanie kapitulacji przez III Rzeszę nie oznaczało dla zwykłego człowieka końca zmagania z własnymi traumami i lękami. Miasta zostały naznaczone walkami i nie stanowiły bezpiecznych miejsc do zamieszkania. Mimo niesprzyjających warunków mieszkańcy naszego miasta starali się oswoić nieprzyjazne środowisko ponemieckie i odnaleźć stabilizację. Społeczeństwo wkraczało w nową rzeczywistość ze sporym bagażem lęków i strachu. Sprzątano gruzy, chowano umarłych, wytyczano nowe ulice, szabrowano. Na skwerach i drzewach zaczęły pojawiać się pierwsze reklamy zachęcające do spędzenia czasu w kawiarniach czy skorzystania z usług manicurzystki, krawcowej, a nawet modystki.

Polki, które przyjechały w 1945 roku do Złotorzy miały zazwyczaj na sobie prostą, połataną garsonkę, grube wełniane pończochy ze śladami domowego cerowania, w rękę walizkę z całym do-

bytkiem, a na głowie turban lub chustkę. Krytyk sztuki Szymon Bojko podkreślał, że turban świetnie chronił fryzury od wszechobecnego kurzu i wszelkich insektów grasujących w taborach kolejowych.

W wielu miastach w tym może i w Złotorzy (bo tego nie jestem pewny) dostawało się jednorazową zapomogę: 500 zł. (coś w 500+ ☺ Dla porównania w styczniu 1945 roku pończochy ze sztucznego jedwabiu kosztowały 800 zł. Wydaje się, że moda nigdy nie powróci. W zrujnowanej wojną Polsce tak błaha tematyka nie powinna przecież znaleźć sobie miejsca. W numerze "Przekroju" z 14 lipca 1945 roku czytamy: *Na miłość boską, niewiasty, zajmijcie się czym innym! Nikt Wam przecież nie broni ładnie wyglądać. Ale naprawdę nie można zbyt wiele czasu na to marnować, kiedy jest tyle ważnych rzeczy do zrobienia.* Jednak już dwa miesiące później w magazynie pojawia się rubryka "Moda", która zagości tam na stałe. Pierwszy tekst to zaproszenie mody do powrotu i dowcipny manifest. *Kobieta powinna być ładna. Nie powinna poświęcać temu połowy życia, ale mniej więcej 1 10-tą. Tyle, ile normalni mężczyźni poświęcają bridge'owi. Wtedy świat dojdzie do równowagi i wszyscy będą zadowoleni.*

I świat rzeczywiście dochodził do równowagi – także dzięki potrzebie mody i dbania o siebie. Złotorzyja zaczęła się ożywiać. Kwitł dziki handel bazarowy. Między zrujnowanymi domami, na po-

dworkach i przy nieistniejących skrzyżowaniach pojawiają się naprędce sklecone z blachy budki z oferującą wszelkie usługi związane z modą i dobrym wizerunkiem, a pierwsze zakłady fryzjerskie oferowały dla pań „wieczną ondulację”.

Powszechnie modę w Złotorzy określano "przeróbkową", czyli - jak byśmy dziś powiedzieli – bazującą na recydingu. Jak pisano w prasie, to właśnie "pomysłowe przeróbki" wzbudzały największe zachwyty elegantek. Dziennikarka popularnego tygodnika "Moda i Życie Praktyczne" relacjonowała pokaz mody: *Przeróbki były tak piękne w harmonijnych zestawieniach barw, łączeń, naszyć, spięć, sznurowań, że zachodzi podejrzenie, iż modnisie gotowe sprawiać nowe suknie takie, by wyglądały na przeróbki.*

Czas wojny i czas powojennej odbudowy to czas niedoboru, resztek, zastępników i erzacu. Kiedy ubrania są na wykończeniu po latach codziennego noszenia w warunkach wojennej codzienności, a nie ma widoków na nowe, trzeba – jak powtarzano - "jakoś sobie radzić". Żeby być modnym, często należało szukać inspiracji poza własną szafą. Przedsiębiorcze złotoryjskie gospodynie domowe szyły z firanek, zasłon, obrusów, koców, kap, a buty ozdabiały fil-



cowymi kwiatkami. Wtedy jak mawiała moja Babcia: każda kobieta szyła.

Także męska szafa stawała się źródłem inspiracji. Mężczyźni – w armii, odesłani na prace przymusowe, ukrywający się, walczący w partyzantce – zostawili za sobą szafy pełne ubrań. Kobiety walczące na froncie domowym, za kulisami mogły dzięki tym zasobom uszyć nowe płaszcze, nowe sukienki. Pod koniec okupacji nastała moda na czarne kostiumy zwane angielskimi – przerabiane były z męskich wizytowych garniturów. W Złotorzy repatriantki z niemieckiej garderoby, która została w szafach ulegała również „przeróbkom”.

Skromne odzieżowe zasoby Polek i Polaków ratowały przesyłki pomocy charytatywnej ONZ oraz UNRRA (Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy). Nie były to jednak zwykłe upragnione sukienki o paryskiej linii, ale odzież wojskowa, najczęściej w kolorze khaki. Kurtki z pagonami, płaszcze z podpinką zwane dziś parkami, zielone wojskowe swetry, wełniane krawaty. Ten styl – "militarny" stał się kostiumem modnego mężczyzny.

Złotoryjskie dziewczęta musiały nauczyć się twórczo korzystać z tych militarnych dóbr odzieżowych. Popularne stało się noszenie przerabianych wojskowych toreb, wojskowy krój kostiumów, a nawet przerabianie wojskowych płaszczy. Na szczęście w paczkach znajdowało się też czasem miejsce dla sukienki – tej wymarzonej, z szerokim dołem na halce, okrą-



głej w biodrach, wąskiej w talii, obcisłej w ramionach. Najczęściej jednak modne kobiety końca lat 40. musiały zadowalać się kombinowaniem: uszyć suknię z podarowanego w paczce szlafroka czy podomki? Często też powojennej elegancji szukały w swoich przedwojennych garderobach, jeśli udało im się je zachować.

Na co dzień złotoryjanki, karmiły swoje oczy przedrukami z zagranicznych żurnali, kobiety wybierały użyteczne stroje, takie jakby na przeczekanie. Jest to jednak czekanie z nadzieją – na potęgę szyje się wówczas sukienki "w łączkę", z taniego jedwabiu wiskozowego. To materiał dostępny dla wszystkich, szare ulice rozkwitają więc damską garderobą, która może nie ma modnego kształtu od projektanta, ale za to jest dowodem odradzającego się złotoryjskiego wiosennego optymizmu.


Rychło okazuje się jednak, że do Złotorzy przybywa zupełnie inna moda niż ta wyczekiwana. Pod koniec lat 40. komunizm zaanektował ją jako jeden z obszarów estetyki i życia codziennego, w jakim wyrażać się ma socrealistyczny duch. Odtąd trzeba się było ubierać skromnie, asekualnie. Sylwetka kobieca miała być zmaskulinizowana, bluzki związane pod szyją, biodra poszerzone, a głowa spłaszczona przez beret czy kaszkieł brrrrrr...

W złotoryjskich witrynach i gablotach wystawionych jest parę egzemplarzy sukien i płaszczy, dla przeciętnego miesz-

kańca naszego miasta były to ceny bardzo wygórowane. Najpopularniejszym sklepem w Złotorzy był Dom Towarowy przy dzisiejszej ulicy Piłsudskiego. Kierownikiem sklepu był Żyd Icchak Mellman. Ceny nie były wygórowane a jakoś materiałów była całkiem zadawalająca.

Tymczasem rozpoczął się plan trzyletniej odbudowy gospodarczej kraju (1947–1949), którego hasła "podniesienia stopy życiowej pracujących warstw ludności", czy "uspołecznienia" w praktyce oznaczały po prostu upaństwowienie i objęcie centralną kontrolą wszelkich przejawów własności prywatnej. Dotknęło to głównie duże przedsiębiorstwa; przetrwali jeszcze prywatni rzemieślnicy, w tym krawcy. To oni zaopatrywali młodzież w modne kreacje. Do pracownicy krawieckiej zaglądano najczęściej z zakupionymi w handlu państwowym tkaninami. Starano się na wszelkie możliwe sposoby zatuszować to, co było ewidentne – czyli biedę. Wizerunek olśniewającej socjalistyczną urodą przodowniczką pracy czy jej przystojnego ukochanego był tylko iluzją powstałą na potrzeby filmów, takich jak "Przygoda na Mariensztacie". Na co dzień zwykli ludzie wciąż nosili przerabiane ubrania, donaszali to, co było w domu...

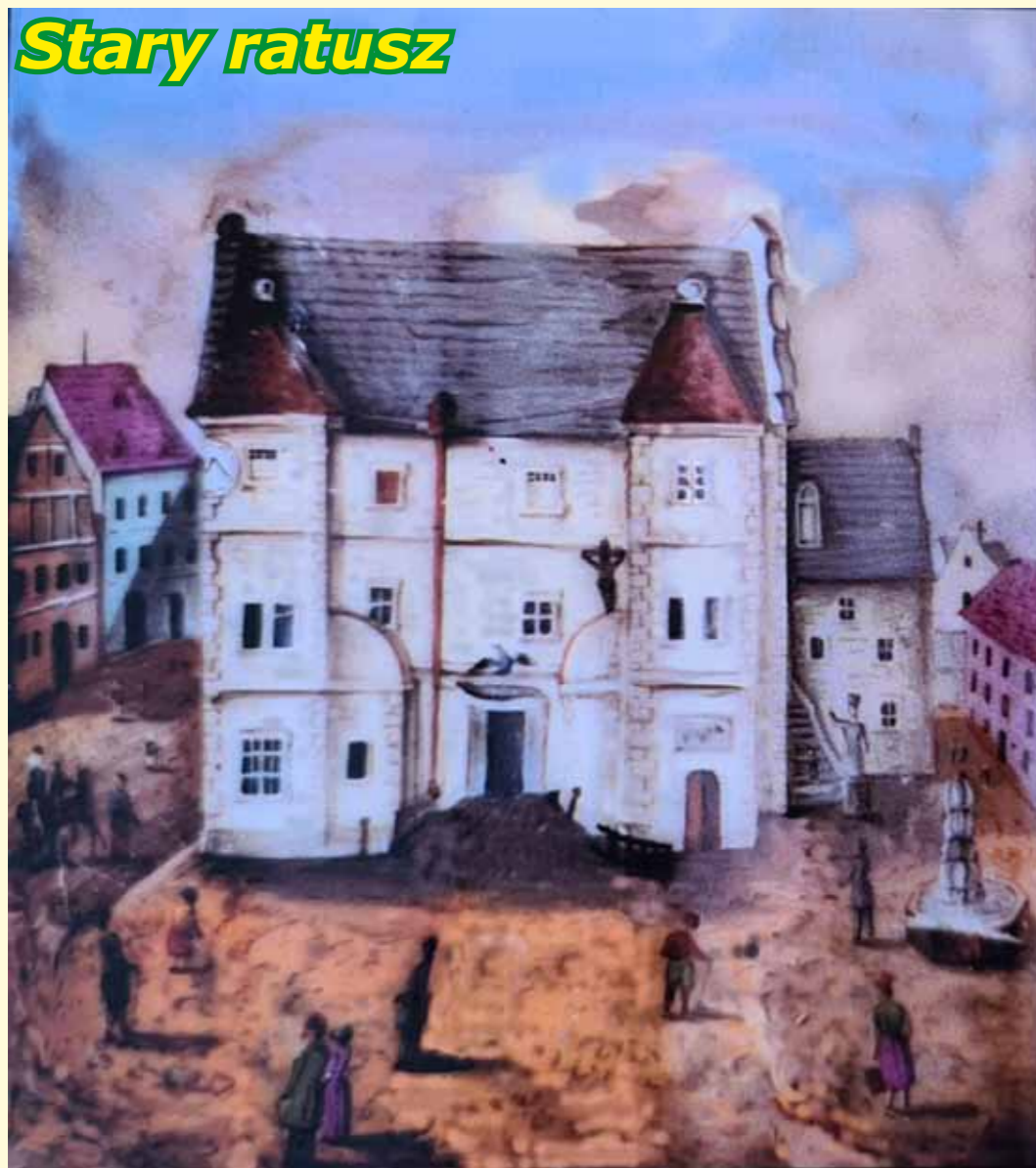
c.d.n.

 Tomasz Szymaniak

### BIBLIOGRAFIA:

1. <https://culture.pl/pl/artykul/manicure-na-ruinach-polska-moda-po-ii-wojnie-swiatowej>
2. <https://hrabiatytus.pl/2019/10/28/moda-w-polsce-tuz-po-wojnie-praktyczna-i-pragmatyczna-czy-beztroska-i-lekkomylna/>
3. Aleksandra Boćkowska, *To nie są moje wielbłądy. O modzie w PRL*, Czarne, Warszawa 2015.
4. Piotr Korduba, *Ludowość na sprzedaż*. Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego, Cepelia, Instytut Wzornictwa Przemysłowego, Fundacja Nowej Kultury Bęc Zmiana–Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2003.
5. Justyna Jaworska, *"Cywilizacja Przekroju. Misja obyczajowa w magazynie ilustrowanym"*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 2008
6. Anna Pelka, *"Z politycznym fasonem. Rzecz o modzie młodzieżowej w PRL i NRD"*, Słowo Obraz Terytoria, 2014
7. Katalog wystawy "Modna i już! Moda w PRL" Muzeum Narodowe w Krakowie - kuratorki Joanna Kowalska, Małgorzata Moźdzysłowska-Nowotka, 2015

## Stary ratusz



Jak wiemy, okazały budynek w samym centrum złotoryjskiego rynku był siedzibą władz miejskich przez wiele, wiele lat, a raczej wieków! Budynek przy ul. Rynek 42 został wybudowany w latach 1842-1852, ale jest to „nowy” ratusz. Wcześniej budynek magistratu wyglądał zupełnie inaczej. Jak można wyczytać w fachowej literaturze, pierwszy ratusz w Żłotoryi powstał już w 1526 roku, lecz w wyniku pożaru w 1613 roku został kompletnie zniszczony. Budynek odbudowano, a władze miasta miały tam siedzibę aż do 1841 roku, bo w tym właśnie czasie budynek zawalił się. Decyzją rajców miejskich rok później rozpoczęto budowę „nowego” ratusza.

Poniżej ciekawostka, fajka z wizerunkiem „starego” ratusza. Ciekawa jest też grafika przedstawiająca najprawdopodobniej nastraszony widok złotoryjskiego rynku. Za-

uważyć można karczmę Pod Pelikaniem, fontannę Delfina oraz ratusz miejski. Jak Wam się podoba stary ratusz? Który jest ładniejszy?

Fot. Jarosław Dudek,  
Montaż elektroniczny – Zbigniew Soja,  
Fajka – zbiory prywatne

Przemysław Markiewicz



## Folwark

W XVII w. na skraju miasta wybudowano uroczy folwark. Przy głównym budynku

powstały inne - gospodarcze, które razem stanowiły czworobok.



## Villa Glückauf



Dzisiejsza widokówka przedstawia kolejną perełkę budownictwa.

Ta okazała budowla wzniesiona w 1911 r. zajmuje spórą parcelę przy dzisiejszej ul. Wyszyńskiego - dawniej Mittelstrasse.

Właściciele nadali jej nazwę GLÜCKAUF. Nie wiadomo, czy nazwa dała szczęście mieszkańcom, ale spórą zagadką jest okratowanie mieszkania na parterze po prawej stronie willi. Co tam było i dlaczego zabezpieczono kratami to miesz-

kanie? Tego już się na pewno nie dowiemy, ale możemy puścić wodze fantazji i dopisać swoją historię.

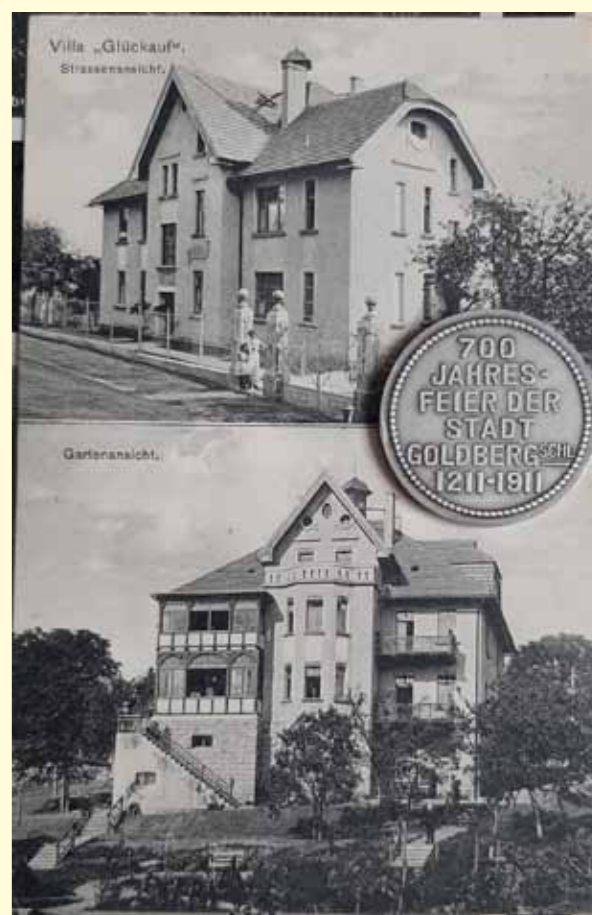
Dolne zdjęcie pocztówki przedstawia duży ogród, który był bardzo zadbany. Z willi do ogrodu prowadziły

bezpośrednio schody z werandy oraz z bocznej części budynku

Do dzisiaj zachowały się też fragmenty ozdobnego ogrodzenia.

Kolejna widokówka pokazuje z innej perspektywy cały ogród opisywanej Villi. Doskonale są widoczne wytyczone ścieżki, pergola i ławeczka z widokiem na cały ogród.

Piotr Klimaszewski



Właścicielem folwarku był Johan Feige ze znanego złotoryjskiego rodu. Jego znak herbowy i data powstania - MDCXII (1612 r.) widnieją nad wejściem do głównego budynku.

Z biegiem lat w miejscu folwarku powstała gospoda GASTHOF LINDENKRETSCHAM, w której była spora sala, a naprzeciwko gospody tzw. ogród piwny.

Właścicielem Gospody był Gustav Grunwald, a następnie F. Sanneck.

Prezentowane widokówki zostały wysłane w drugiej dekadzie XX w.

Ciekawostką jest, że kilka lat temu prowadzona była dyskusja nt. ulokowania w tym miejscu miejskiego muzeum.

Niestety nie doszło do realizacji tego pomysłu....

Piotr Klimaszewski

# TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ



Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej liczy sobie 35 lat.

A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wzbogacanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej,

59-500 Żłotoryja, ul. Szkolna 1,

e-mail: [tmzz@tmzz.zlotoryja.pl](mailto:tmzz@tmzz.zlotoryja.pl), tel.: 571254458

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w latach 2020 - 2022:

- ✓ XXIV Rajd Jadwiżański w 2022 r.,
- ✓ Dwa filmy nakręcone w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa w 2020 i 2021 r.
- ✓ XIV tom Biblioteczki Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej pt. „Polskie Towarzystwo
- ✓ Turystyczno-Krajoznawcze w Żłotoryi”
- ✓ Konkurs plastyczny „Moje życie w Polsce”
- ✓ Odbudowa Obelisku Ludzkiego Przemijania

TMZZ zdobył tytuł Laureata w VI edycji konkursu zDolne NGO

\* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ

\* ECHO ŻŁOTORYI

\* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ

\* ŻŁOTORYJSKI KLUCZ SUKCESU

\* ROKU ŻŁOTORYI

\* WIOSNA WIELKIEJ JUBILEU

\* EKSPONATY I SOLARNA W ŻŁOTORYI

## GALERIA SPONSORÓW



# Lena

Wilków Spółka z o.o.

### PRODUCENT

konstrukcji stalowych aparaty i urządzeń technologicznych w tym dla ochrony środowiska tymczasowych stacji paliw elementów złącznych hydrauliki siłowej sprzętu transportowego dla górnictwa  
[www.lena.com.pl](http://www.lena.com.pl)  
[lenawilkow@lena.com.pl](mailto:lenawilkow@lena.com.pl)  
tel. +48 768783 480, fax +48 76 8783 212



# VITBIS

szklane bombki choinkowe



## grysy bazaltowe



- \* płukanki
- \* kolorowe
- \* posypki
- \* mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL  
ul. Zieta 1, 59-500 Żłotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

**Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej**

Adres redakcji: 59-500 Żłotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), [www.tmzz.pl](http://www.tmzz.pl), e-mail: [echozlotoryi@tmzz.pl](mailto:echozlotoryi@tmzz.pl)

**Redakcja:** Bogusław Cetera (dystrybucja), Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Marta Kusiak, Przemysław Markiewicz, Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.

Zdjęcie na okładce: Robert Pawłowski - Rynek w Żłotoryi 6 grudnia.

# ECHO ŻŁOTORYI



Echo Żłotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

